NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. —8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 25 czerwca 1910. Nr. 26.

Zamach na policmajstra.

(Treść na str. 2).



Od Administracyi!

Z numerem niniejszym kończy się drugi kwartał. Naszych P. T. Czytelników i Prenumeratorów prosimy zatem o dalsze poparcie i o rychłe odnowienie przedpłaty na kwartał następny, a to celem uregulowania nakładu.

Prenumeratorom z Galicyi dołączamy w tym celu do dzisiejszego numeru czeki pocztowej kasy oszczędności, co ułatwi im znacznie wysyłkę pieniędzy i oszczędzi kosztów porta.

Prenumerata „Nowości illustrowanych do końca roku z przesyłką pocztową wynosi zaledwie 8 kor., na trzeci kwartał zaś 4 kor.

Naszym P. T. Czytelnikom i Prenumeratorom w Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem zwracamy uwagę, że ekspedycya naszego pisma na Królestwo Polskie i Cesarstwo, odbywa się w Warszawie i stamtąd też pismo nasze bywa każdego piątku rano wszystkim Prenumeratorom rozsyłane.

Nie należy zatem przedpłaty z Królestwa i Cesarstwa przesyłać do Krakowa, ale do biura

G. UNGRA, w Warszawie,

Aleja Jerozolimska 78,

albo też można pismo zamawiać za pośrednictwem każdej księgarni tak w Warszawie, jak i na prowincyi.

Prenumerata kwartalna wynosi:

w Warszawie 1. Rbs. 80 kop.

Na prowincyi już wraz z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop.

Zamach na policmajstra.

(Do illustracyi tytułowej)

W ostatnich czasach panował na ogół w Królestwie Polskiem spokój i zamachy polityczne należały do wypadków wyjątkowych, zwłaszcza w porównaniu z miniona niedawno epoką rewolucyjną. Tylko od czasu do czasu, jak gdyby echo wrzenia rewolucyjnego, odzywały się strzały rewolwerowe, lub wybuchały bomby, a i te zamachy miały bardzo często podkład raczej ekonomiczny niż polityczny.

W ubiegłym jednak tygodniu zaszedł w spokojnej i cichej miejscowości Królestwa, w Grodzisku, na stacyi kolejowej, wypadek, którego przebieg żywo przypomina nieszczęsny okres rewolucyi. Wykonano tam mianowicie zamach na naczelnika straży ziemskiej i policmajstra Żyrardowa, kapitana J. Aleksandrowa. Przybył on w ubiegły piątek rano na stacyę kolejową w Grodzisku w towarzystwie dwu strażników: starszego Aksionowa i młodszego Prigodina, zamierzając udać się najbliższym pociągiem do Warszawy.

W chwili, kiedy policmajster Aleksandrow przechodził przez peron ku pociągowi, zbliżył się do



Fot. J Niemand, Buczacz.

Jubileusz pedagoga: Uczniowie, oraz nauczyciele gimnazyum w Buczaczu po uroczystości jubileuszowej.



Fot. J. Niemand, Buczacz.

Jubileusz pedagoga: Grono nauczycielskie gimnazyum w Buczaczu, z dyrektorem J. Zychem (X) w pośrodku.

niego jakiś młody człowieki rzucił mu pod nogi blaszane pudełko. Strażnicy, którzy towarzyszyli swemu szefowi, domyślili się, iż młody ów człowiek ma względem kapitana Aleksandrowa wrogie zamiary i zasłonili go, było już jednak zapóźno, gdyż równocześnie rozległ się straszliwy huk, któremu zawtórowały jęki i obaj strażnicy powalili się ciężko ranni na ziemię, kapitan zaś, lżej zraniony, próbował cofnąć się ku poczekalni. Wówczas sprawca zamachu wydobył rewolwer i dał do Aleksandrowa kilka strzałów.

Tymczasem obecni na dworcu w Grodzisku żandarmi ochłonęli z chwilowego przestrachu i rzucili się ku sprawcy zamachu, prażąc go ogniem karabinowym. Trafiony kilkakrotnie, padł młody nieznajomy na ziemię, zanim jednak zdołano go ująć, ostatnią kulę rewolweru skierował ku własnej skroni.

Zajęto się też rannymi strażnikami, których stan był istotnie bardzo żałosny. Aksionowowi bomba urwała nogę i wydarła część jamy brzusznej, Prigodinowi poszarpała ręce i nogi, oraz całe ciało pokaleczyła, kapitan Aleksandrow zaś odniósł z powodu wybuchu kilka ciężkich kontuzyi, ponadto jednak otrzymał sześć ran rewolwerowych, z tych jedną bardzo ciężką.

Po prowizorycznem opatrzeniu rannych ofiar wybuchu oraz sprawcy jego, przewieziono wszystkich do Warszawy. Tam zmarł w godzinę po przybyciu Prigodin, a Aksionow i nieznanego dotąd nazwiska sprawca zamachu dogorywają. Stan ciężko rannego kapitana Aleksandrowa jest bardzo poważny, lekarze jednak mają nadzieję, iż uda im się utrzymać go przy życiu.

Śledztwo, wytoczone w tej sprawie, nie wyjaśniło dotąd przyczyn straszliwego czynu młodego człowieka.

Jubileusz pedagoga.

W połowie czerwca święciło gimnazyum buczackie piękną uroczystość. Dyrektorem tamtejszego gimnazyum jest p. Franciszek Zych, osobistość kochana przez grono nauczycielskie i młodzież i ogólnie szanowana w mieście i okolicy. W tym roku przypada rocznica trzydziestoletniej służby p. Zycha w zawodzie nauczycielskim, więc w dniu jubileuszu całe grono zjawiło się rano w kancelaryi jubilata, a przez usta kanonika i katechety obrządku greckokatolickiego, ks. Adryana Dobrzańskiego, złożyło czcigodnemu solenizantowi swe serdeczne życzenia. Przemówienie doskonałego mowcy zaznaczyło radość, że Wszechmocny, przeprowadziwszy jubilata w zeszłym roku przez ciężką, obłożną chorobę, pozwolił mu znów stanąć na czele zakładu, który za jego dyrektury wybudowany i zorganizowany, mimo ciężkie przejścia i chwilowe niepowodzenia, stanął obecnie w rzędzie zakładów wzorowych. Ojcowska dbałość jubilata o młodzież bez względu na wyznanie i narodowość, jego mrówcza praca i serdeczny, prawdziwie koleżeński stosunek do grona, zapewniły mu cześć i utrwaliły tak w gronie jak i w młodzieży rzetelne przywiązanie do jego osoby, nie mniej gorące pragnienie, aby jubilat po trzydziestu latach trudów w zawodzie swoim długo jeszcze dzierżył ster rządów w tej szkole, która przysłużyła się krajowi i państwu całym zastępem dzielnej i rozumnie wychowanej młodzieży.

Na wiązanie ofiarowało grono jubilatowi w upominku prześliczne album, na które złożyła się praca zaszczytnie znanej w kraju introligatorni p. Ludwika Wierzbickiego we Lwowie, piękne malarskie produkcye uczniów buczackiego gimnazyum Emila Maślaka i Stanisława Kuhna i fotografie członków grona, wykonane w artystycznej pracowni fotograficznej p. Niemanda. Oprawę albumu ujęto w jasnożółty safian z bogatym ornamentem, z herbem Polski, Litwy i Rusi i fotografiami jubilata i buczackiego gimnazyum na okładce frontowej. Całość spięta srebrnem oksydowanem okuciem w zakopiańskim stylu. Serdecznie też dziękował jubilat, wruszony do głębi objawami przywiązania. Na jego intencyę odbyło się następnie nabożeństwo w kościele parafialnym. Ks. prałat Gromnicki przy ołtarzu głównym a ks. Dobrzański i katecheta obrządku łacińskiego ks. Wrucha odczytali równocześnie trzy ciche msze, poczem wróciła młodzież pod przewodnictwem profesorów do pięknie przystrojonej auli gimnazyalnej, gdzie śpiewami, produkcyami orkiestry smyczkowej i mandolinowej i przemówieniem jednego z uczniów złożyła hołd pracy swego umiłowanego kierownika.

Wieczorem odbył się w rzęsiście umajonej sali „Sokoła“ bankiet ku czci jubilata i jego najbliższych w kole wszystkich członków grona i ich żon.

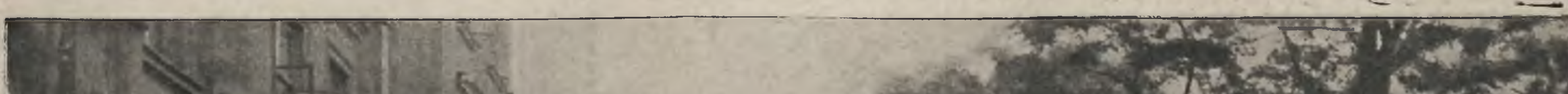
Zawalenie się kamienicy we Lwowie.

W gęsto zamieszkanej dzielnicy Lwowa, a zamieszkanej przez najuboższą ludność żydowską, wydarzyła się w ubiegły poniedziałek straszna katastrofa budowlana, spowodowana niesumiennością a conajmniej lekkomyślnością właściciela kamienicy przy ul. Bożniczej l. 3, Majera Menkesa.



Fot. M. Münz, Lwów

Zawalenie się kamienicy we Lwowie: Akcya ratunkowa straży pożarnej.



Uroczystość szkolna: Uczestnicy uroczystości jubileuszowej w szkole króla Kazimierza na Wolnicy w Krakowie.

Obok właściciela odpowiedzialność za straszną tę katastrofę przyjąć musi na siebie miejski urząd budowniczy, który toleruje niesłychane wprost niedbalstwo właścicieli i dopuszcza do tak karygodnego lekceważenia życia ludzkiego. Faktem jest, że we Lwowie olbrzymi procent budowli nie nadaje się zupełnie do zamieszkania i setki ruder powinny być delożowane. Zwłaszcza w dzielnicy, która była widownią poniedziałkowej katastrofy, stosunki pod tym względem żałosny przedstawiają obraz.

Może ostatni, tak tragicznie zakończony wypadek, będzie dla miejscowych władz groźnem ostrzeżeniem, że tego rodzaju stosunków nadal tolerować nie można.

Katastrofa zaszła w nocy o wpół do trzeciej. Zawalił się w dwupiętrowej kamienicy cały jej środek, obejmujący cztery mieszkania dwuizbowe. Lokatorowie bardzo biedni a bardzo liczni, znaleźli się nagle pod gruzami domu.

Pełniący w pobliżu służbę kapral policyjny Łuszew, posłyszawszy straszliwy huk i zbadawszy niezwłocznie jego przyczyny, zaalarmował telefonicznie straż pożarną i pogotowie ratunkowe, na razie zaś sam pospieszył z pomocą nieszczęśliwym ofiarom katastrofy i zdołał uratować od niechybnej śmierci dwie osoby.

Po chwili zjawiła się pomoc, a przybyłym przedstawił się obraz wprost wstrząsający swą grozą. Oto cały środek kamienicy leżał w gruzach, od strychu aż po piwnicę, a z pod gruzów słychać było okropne jęki i wołania o pomoc. Straż pożarna wzięła się przedewszystkiem do delożowania reszty domu i sąsiedniej realności, również grożącej zawaleniem się, a następnie do usuwania gruzów i dobywania z pod nich ofiar wypadku. W ciągu całodniowej pracy wydobyto dwadzieścia pięć osób, ciężko przeważnie rannych, a siedm trupów, z których większość była w straszny sposób zmasakrowana. Ponadto odniosło lżejsze kontuzye kilka osób, zajętych przy akcyi ratunkowej.

W czasie odgrzebywania i usuwania gruzów, rozgrywały się wokoło domu iście dantejskie sceny. Ocaleni mieszkańcy krążyli bezradni, jęcząc i narzekając z powodu straty najbliższych z rodziny lub mienia. Bardzo wielu bowiem mieszkańców tej kamienicy straciło wszystko wskutek wypadku.



Zawalenie się kamienicy we Lwowie: Widok miejsca katastrofy. Fot. M. Müuz, Lwów.

Uroczystość szkolna.

Jedna z najstarszych szkół w Krakowie, szkoła imienia króla Kazimierza w budynku poratuszowym na Wolnicy, święciła w ubiegłym tygodniu stulecie swego istnienia i działalności pedagogicznej; uroczystość, z tego powodu urządzona w murach szkolnych, przybrała rozmiary szersze, ogólno narodowe, ponieważ połączono ją z obchodem 600 tnej rocznicy urodzin króla Kazimierza Wielkiego.

Obchód rozpoczęto nabożeństwami w kościele Bożego Ciała na Kazimierzu dla młodzieży katolickiej i w świątyni izraelitów postępowych dla młodzieży żydowskiej. Po nabożeństwach zebrali się uczestnicy uroczystości w obszernej, pięknie przystrojonej auli szkolnej. Przybyli tam prócz młodzieży i grona nauczylskiego szkoły: radca dworu Zaleski, jako przedstawiciel rady szkolnej krajowej, dyrektor dr. E. Bandrowski, delegat rady miejskiej, prezydent Zboru izraelickiego dr. Tilles, prezydent izby handlowej i przemysłowej Dattner i i.

Na program obchodu złożyły się udatne produkcye wokalno-deklamacyjne uczniów szkoły, oraz szereg przemówień. Piękna uroczystość wywarła na obecnych podniosłe wrażenie i była dowodem, że szkoła króla Kazimierza godnie spełnia swe obowiązki.

Zasługa to przedewszystkiem dzielnego grona nauczycielskiego i jego kierownika, dyrektora Salomona Spitzera. Doskonały ten pedagog, wykształcony wszechstronnie, przytem człowiek niepospolitej pracowitości i energii, rozpoczął zawód nauczycielski przed 30 laty w tej samej szkole, której dziś jest kierownikiem. Stanowisko kierownika zajmuje od r. 1902 i w ciągu swej działalności podniósł stan szkoły im. Kazimierza na poziom bardzo wysoki. Po za obowiązkami zawodowymi bierze udział w życiu publicznem, a zwłaszcza w towarzystwach humanitarnych. Działalność jego jest bardzo wydatna. Dzięki temu, cieszy się też ogólnem poszanowaniem.



Fot. M. Münz, Lwów.

Zawalenie się kamienicy we Lwowie: Wynoszenie rannych i zabitych z wnętrza domu.



Zawalenie się kamienicy we Lwowie: W korytarzu wewnątrz zawalonego domu.

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

7 (Ciąg dalszy).

Powtórzył cyfrę po kilka razy i dodał:

— Mów pan bez obawy... jestem przyjacielem pańskim... nalegam, gdyż chcę pana bronić, chcę pana ocalić... niech pan mówi... trzeba mówić!

Za każdem jego słowem wysiłek chorego stawał się widoczniejszym. Dźwignął się nagle na zesztywniałych rękach i zaczął bełkotać niezrozumiałe wyrazy, jak gdyby czynił próby wypowiedzenia czegoś, co przyćmiona wola jego wypowiedzieć pragnęła.

Całem naprężeniem swojej istoty pan Lenormand nasłuchiwał niewyraźnych dźwięków; czyhał na nie, chwytał je, jak zdobycz...

— Mów pan... mów... trzeba mówić... Widzi pan, ja jestem przyjaciel... ja znam cyfrę 813...

— 813... — powtórzył głos, słaby, jak dalekie echo.

Ale zaledwie chory wymówił te trzy liczby, a wzdrygnął się i wyraz okropnego lęku wykrzywił mu twarz. Zamknął oczy, zachwiał się całem ciałem i nagle głowa jego opadła na poduszki.

— Umarł! — zawołał Gourel.

— Ależ nie!... nie!...

Pan Lenormand przyłożył rękę do piersi chorego.

— Ależ nie... nie... serce bije!

— Tak, serce bije... lepiej mu... — dodał po kilku minutach — tylko że już teraz nic z nim nie zrobimy. Nie będzie mówił.

— Trzeba będzie koniecznie...

— Nie, daj spokój, Gourel.

Wstał i pochylony, jak zwykle, podpierając się laską, zaczął chodzić po pokoju. Od czasu do czasu przystawał to przed oknem, to przed jakimś meblem i rozmyślał. Wreszcie zatrzymał się przed inspektorem i rzekł:

— Słuchaj Gourel, słuchaj dobrze. Ja odchodzę... Ty tu zostań.

— Dobrzo, panie szefie.

— Powierzam ci go. Spi... zachowuj się cicho... nie dotykaj go... ale pilnuj go dobrze. Ten człowiek jest mi potrzebniejszy, niż wszelka władza, jaką rozporządzam.

— Głową za niego odpowiadam, szefie.

Podczas gdy Gourel przygotowywał się do spędzenia nocy przy chorym, p. Lenormand wyszedł z pokoju, przeszedł do loży, kazał trzem ajentom pilnować domu, zakazał im kogokolwiek wypuścić— albo wpuścić bez należytego powodu — a zarządziwszy te wszystkie ostrożności, zabrał więźniów swoich na prefekturę policyi.

. . . .

Nazajutrz rano o dziewiątej szef bezpieczeństwa, wróciwszy na ulicę Demours, zastał sędziego śledczego, który śledztwo rozpoczynał od loży. Pan Formerie uradowany i przejęty swojem zadaniem rzekł do szefa, jak gdyby uwiadamiał go o wypadku, w którym Lenormand nie brał żadnego udziału, on zaś, pan Formerie, odegrał poważną rolę:

— Mamy Lupina, mamy! Aniby pan nie przypuścił, jakie to robi wrażenie! O tem tylko wszyscy mówią. Lupin aresztowany! Lupin w więzieniu! Nareszcie mam swój odwet!

Nie odpowiadając mu wcale, Lenormand zagadnął jednego z ajentów.

— Czy wszystko tu dobrze?

— Bardzo dobrze, panie szefie.

— Czy zanieśliście rano kawę inspektorowi Gourelowi?

— Tak, tylko że...

— Jakto? przecież kazałem zanieść!

— Zaniosłem kawę, szefie, tylko, że... napróżno dzwoniłem, inspektor Gourel wcale mi nie odpowiedział.

— To być nie może — zauważył sędzia śledczy.

Lenormand wzruszył ramionami i pobiegł do drzwi parterowego mieszkania. Poprzedniego wieczora odłączył klucz wchodowy z pęku kluczy starej służącej. W towarzystwie pana Formerie wszedł spiesznie i odrazu korytarzem służbowym przeszedł do pokoju chorego.

Przystanął nagle, jak w ziemię wryty.

— Ach! — zawołał pan Formerie. — Co to ma znaczyć? To dobre sobie!

Łóżko było próżne. Na krzesełku, zgięty w pół, z głową opartą o kolana, Gourel chrapał.

Była to gratka dla pana Formerie. Ocknąwszy się ze zdumienia, zawołał:

— Ależ on śpi, ten wzorowy sługa! Hm... drogi panie, i co pan na to? Spi tak smacznie, że jego więzień mógł się ulotnić, jak sen. Można mu jeszcze teraz powiedzieć „dobranoc"!

I nagle poważniejąc, dorzucił:

— Należy bardzo żałować, panie Lenormand, że pan większych ostrożności nie zarządził!

Szef nie słuchał. Milczący, przeszukując wzrokiem wszystkie zakątki pokoju, gniótł w ściśnionych palcach gałkę laski. Zbliżył się do łóżka i obejrzał je. Potem podszedł do okna. Okno było zamknięte. Zresztą okno to wychodziło na podwórko bez wyjścia.

— Bądź co bądź — zauważył pan Formerie — to wygląda na cud.

— Niema cudów.

— Phi! To już chyba cud wejść do pokoju szczelnie zamkniętego i porwać chorego tak, by nie słyszał ajent, który go strzeże.

—. Gourela uśpiono zapomocą narkotyku.

— Widzę to przecież! Ale trzeba było dać mu ten narkotyk. Którędy tu weszli? I powtarzam, którędy wyszli?... Chorego nie przenosi się przez ściany... Gdyby były jakieś ślady... Cośkolwiek... A tu nic... Ja to nazywam cudem!

W godzinę potem obudził się Gourel. Nie mógł sobie niczego przypomnieć. Pamiętał tylko, że pił wodę z karafki, stojącej na nocnym stoliczku, wpośród butelek z lekarstwami. Szukano karafki, szukano szklanki, z której pił. Nie znaleziono ich. I ubrania chorego nie było w pokoju. Jednakże przypięty szpilką do ściany był list — ten sławny list Arsena Lupina, który tegoż dnia jeszcze powtórzyły dzienniki i który taki pozyskał rozgłos.

List otwarty do p. Lenormand,
szefa bezpieczeństwa publicznego.

Kochany panie Lenormand!

„Trzeba zacząć od początku.

16 kwietnia jakieś indywiduum (proszę uważać, mówię indywiduum) wdarło się wraz ze swym wspólnikiem do pana Kesselbacha i wymusiło na nim klucz i tajemnicę jego żelaznego schowka. Nazajutrz znaleziono p. Kesselbacha, zamordowanego sztyletem, a w ślad za tem pierwszem morderstwem popełniono dwa drugie.

Na zasadzie biletu wizytowego, pozostawionego umyślnie przez owo indywiduum, *primo*, przypisano ten rabunek Arsenowi Lupin — *secundo*, Lupinowi zarzucono te trzy morderstwa.

Protestuję przeciwko tym dwom fałszom.

Bystrość pańska sprostowała ten drugi fałsz; sam pan to przyznał, że Lupin nie morduje.

Jednakże zależy mi na publicznem sprostowaniu i pierwszego także: ja nie jestem tem indywiduum, które się wdarło do p. Kesselbacha. Tamten, z niedelikatnością, na którą uskarżam się przed wszystkimi uczciwymi ludźmi, przywłaszczył sobie moje imię i skompromitował mnie niezręcznością, oraz bardzo zawinioną lekkomyślnością, z jaką wystawił na cios mordercy tego, którego miał zaszczyt obrabować. Rumieniłem się ze wstydu.

A oto wczoraj — herszt nieudolny — pozwala wpaść w pańskie ręce współpracownikom swoim, a moim niegdyś wspólnikom, których na własną ich zgubę skupił dookoła siebie. Na domiar wszystkiego złego sam siebie pozwala ująć pod mojem nazwiskiem — pod nazwiskiem Arsena Lupin! To już przechodzi granice. Na to już dłużej spokojnie patrzeć nie mogę. Wychodzę tedy z ukrycia, wychylam się z tego zakątka, gdzie cztery lata przebyłem pomiędzy psem moim a memi książkami, zwołuję wszystkich przyjaciół moich i znowu rzucam się w wir walki.

Czynię to z tym większym zapałem, że sprawa Kesselbacha wydaje mi się pierwszorzędną i godną mojej uwagi. Przytem nęci mnie, panie Lenormand, nadzieja zmierzenia się z panem.

Na wstępie rozpoczynam od przywłaszczenia sobie imci pana Piotra Leduc. Dalej uprzedzam, że jako dawnych towarzyszy broni, za pięć tygodni, w piątek 31 maja wywiodę na wolność rzekomego Arsena Lupin, Marka, Hieronima i starą służącą.

Proszę bardzo, niech mi pan daruje, drogi panie Lenormand, że ogłoszę ten list w różnych dziennikach i niech pan raczy przyjąć hołd oddanego sobie *Arsena Lupin*".

Rozdział III.

Książe Sernin przy pracy.

Automobil zatrzymał się w pośrodku lasku w Virollay, na małej polance, położonej o jakie dwieście metrów w bok od drogi, prowadzącej z Paryża do Wersalu. Mechanik pozostał na koźle. Dwóch ludzi wysiadło, a jeden z nich zwrócił się do towarzysza swego i mechanika:

— Miejsce jest dobrze wybrane. Drzewa zasłaniają nas od drogi, a nie jest prawdopodobnem, aby kto chodził po lesie.

— A zresztą — rzekł drugi — możeby źle wyszedł ten, ktoby nos wścibiał w nasze sprawy.

— Tak, tak, ja wiem — mówił pierwszy — tobie zawsze, Hipolicie, bitwy się zachciewa. Ale nasz wódz bitwy mieć nie chce. Dziś rozkaz brzmi: przezorność i dyskrecya.

— Niech i tak będzie. Tylko jabym chciał dobrze rozumieć... A ty, Varnier, czy ty rozumiesz choć trochę, co te wszystkie korowody mogą znaczyć?

— Już ci ze dwadzieścia razy mówiłem, że i ja nic a nic nie rozumiem. Rozumiem dopiero, gdy już jest po wszystkiem. Wtedy się wszystko wyjaśnia i wtedy wiem, co, jak i dlaczego. Przedtem nie rozumiem nic.

— Ani ja. Ale prawdę ci powiem — ja sobie z tego nie robię nic.

— Bardzo słusznie!

— A nic sobie z tego nie robię, ponieważ jestem pewien, że... że z naszym majstrem wszystko się zawsze dobrze skończyć musi. Och, Varnier, jak on dobrze zrobił, że się znowu wziął do rzeczy i że nas zwołał! Na pierwszy dany znak rzuciłem wszystko i stanąłem przy nim.

— Jakie szczęście — rzekł Varnier — żeśmy nie posłuchali Hieronima i Marca!...

— A pewnie... spalibyśmy teraz na więziennej słomie. A z naszym majstrem to człowiek spokojny... Choćbym miał gilotynę nad głową, spałbym spokojnie, jak w łóżku.

— No, to śpijżeż sobie spokojnie w powozie— rzekł, śmiejąc się, Varnier. — A jak się wyśpisz, pal sobie fajkę.

— I nic więcej?

— Aż do wpół do szóstej. O wpół do szóstej ty i Juliusz — zwrócił się do mechanika — wyjeżdżacie z lasu na główną drogę ku Paryżowi, mijacie Marnes i na czterysta metrów przed stacyą Garches przed kratą parku Villeneuve — halt! stój! Tam rozegra się wielka gra. Trzeba tam być punkt o szóstej... i trzeba pamiętać, że się porywa dwie damy, to jest jedną panienkę... tę już ja biorę na siebie... i wdowę po Kesselbachu.

— Ja z Juliuszem pochwycimy wdowę. Ale jeżeliby ludzie byli na drodze? Co wtedy?

— To nic, brać je mimoto. Ludzie są zawsze odważni, kiedy już jest po wszystkiem, kiedy już zapóźno. Na razie tracą głowę. A więc o szóstej punkt. Nie trzeba gasić motoru, Juliuszu! Rozumiecie chłopcy?

I Varnier, zapaliwszy papierosa, poszedł sobie zwolna drogą na lewo. W małą godzinę znalazł się w dominium Villeneuve. Dobra Villeneuve, choć pokawałkowane, zniszczone obecnie, zachowały dotąd ślady tej świetności, jaką się odznaczały za czasów, gdy przebywała tam cesarzowa Eugenia. Stare drzewa, staw, widok zieleni, jaki na horyzoncie roztacza park St. Cloud, wszystko to nadaje krajobrazowi piętno wdzięku i melancholii.

Znaczna część posiadłości podarowaną została instytutowi Pasteur'a. Mniejsza część, oddzielona od pierwszej całą przestrzenią, zarezerwowaną dla publiczności, tworzy posiadłość jeszcze wcale obszerną, otoczoną murem; wewnątrz wznosi się, dookoła głównego budynku, jeszcze kilka pawilonów oddzielnych.

Ładny ogród, pełen kwiatów i barwnych roślin, ściele się wzdłuż drogi. Nad bramą widnieje napis.

„Zacisze dla pań".

— Wdowa po Kesselbachu tam mieszka — rzekł sam do siebie Varnier, rzuciwszy okiem i nie zatrzymując się. Co do panienki, niech sobie przypomnę... pierwsza uliczka na lewo, trzeci dom na prawo.

Nieco dalej przystanął i udając, że przygląda się przez szeroko otwartą żelazną bramę stawowi, drewnianemu mostkowi, przerzuconemu na wyspę, falistym trawnikom — badał rozkład wejścia, trotuaru i drogi. W dwie minuty później zawrócił na lewo. Trzeci dom po prawej ręce otoczony był płotem, z poza którego widać było podwórze, zasadzone drzewami, kilka klombów krzewów i długi dom biały. Po upływie jakiej godziny nagle wysypało się z domu kilkanaścioro dzieci i zaczęło ba

wić się na podwórzu, wesoło wykrzykując. Ukazała się młoda dziewczyna jasnowłosa, wyglądająca bardzo skromnie, z twarzą łagodną i uśmiechniętą. Trzymała w ręku piłkę, którą rzuciła dzieciom; dzieci z głośnym krzykiem i śmiechem podskoczyły ku piłce.

— To ona — pomyślał Varnier.

Posunął się wzdłuż płotu i dotarł z tyłu domu do krętej ścieżki, którą zamykała, w cieniu gąszcza bzów, tworzących altankę, mała baryerka. Varnier gwizdnął cicho dwa razy, raz za razem, a w kilka sekund później gwizdnął po raz trzeci. Dama w starszym wieku wyjrzała z jednego z okien. Czwarte gwizdnięcie. Wtedy zeszła po stopniach ganku i podeszła do altanki. Twarz jej blada i smutna pod niobami siwych włosów wyrażała wielki niepokój. Nazbyt tęga, stąpająca ciężko, pomimo ubioru damy, miała w swej powierzchowności coś trochę pospolitego. Oczy jej jednak miały wyraz nieskończonej poczciwości.

— To ty, panie Varnier?

— Ja, pani Ernemont.

— Więc stoi na tem?

— A jakże, koniecznie... o szóstej... Panienka niczego się nie domyśla?

— Niczego Bawi się z uczenicami.

— Tak, widziałem. A pani jest pewną, że ona tam pójdzie?

— Gdy tylko uczenice wrócą do klasy, ona tam pójdzie, do Zacisza. Ma się zejść z panią o piątej, tak samo jak wczoraj i jak przedwczoraj.

— Dobrze, ale czy będzie wracała koło stawu?

— Niezawodnie. Będą spacerowały razem, tak jak zwykle bywa. Ale już dosyć gadania, skoro wszystko umówione.

— Pani wie, że z naszym panem to we wszystkiem trzeba dokładności.

— Niech pan ucieka. Genowefa mnie woła.

Pani Ernemont spiesznie wróciła do domu. Panienka istotnie szukała jej.

— Co ty robisz babuniu? Zapominasz, że to już czas na naszą herbatkę.

— A twoje uczenice?

— Dostaną podwieczorek w ogrodzie, pod opieką Karoliny.

— Ufasz Karolinie?

— Najzupełniej — a zresztą nicby mnie nie powstrzymało od wypicia herbaty z tobą o naszej zwykłej godzinie. Toż to jedyna chwila, gdy możemy być ze sobą.

— Poczciwa jesteś, moje drogie dziecko!

Stół był nakryty w małym saloniku od frontu, obok szkolnego pokoju.

Zasiadły i gawędząc, jadły podwieczorek.

— Wiesz, o czem ja myślę, babuniu?

— No powiedz...

— Myślę o tej biednej pani, którą znów zobaczę w Zaciszu.

— O pani Kesselbachowej?

— Tak. Ty nie masz pojęcia, jaka ona smutna. Bardzo kochała męża. A ta śmierć okropna... Wiesz, jeszcze nic nie odkryto. Czytałam o tem w dzienniku. Czy ty myślisz, że pan Formerie jest bardzo inteligentny?

— Dlaczego o to pytasz?

— No co! Już prawie tydzień, jak ma w ręku czterech wspólników Lupina i tyle wie, co w pierwszym dniu.

— Co chcesz? Milczą, jak zabici.

— Trzeba ich rozgadać! Nawet nie dowiedli tożsamości Marca i jego służącej. Pochwycili jakiegoś chorego... ten im się z rąk wyślizguje i nic nie wiedzą — ani jego imienia, ani co go wiąże z bandą, ani nic! Doprawdy, ten Lupin tak ich nabiera!

— Tak mówisz, jakbyś go podziwiała!

— O, ani trochę! Przeciwnie, przyznaję, że mnie razi cała ta ciągła gadanina o nim. Znajduję, że to jest wprost niemoralne. Ludzie zachwycają się nim, jak gdyby był jakim bohaterem. A to złodziej po prostu i to złodziej najgorszej kategoryi, bo nawet nie można powiedzieć, że kradnie z potrzeby, z biedy!

— Tak, niepodobny do innych...

— Och, już wiem, już znam tę bajeczkę... Wspaniałomyślny, rycerski, szlachetny, uprzejmy, stojący w obronie uciśnionych, Don Kiszot jakiś!... Wszystko blaga, babuniu! Złodziej — i tyle!

Mówiła dalej. Każde jej słowo, każdy ruch opanowany, szczerość spojrzenia — wszystko znamionowało naturę zdrową, poważny pogląd na życie. Chociaż tak młoda — kończyła lat ośmnaście — okazywała w sądach i w poglądach wiele rozumu, równowagi i logiki; a jednak poważne te zalety nie ujmowały jej ani dobrego humoru, ani dziecięcej naiwności, ani radości życia.

Podnosząc się, dodała:

— A zresztą, gdy się pomyśli o rozpaczy pani Kesselbach, gdy się widziało, tak jak ja, jej biedne, łzami zmęczone oczy, trudno zdobyć się na pobłażliwość.

— Biedna ta pani! Czy ona była uprzejmą dla ciebie?

— Więcej niż uprzejmą, serdeczną była dla mnie.



Na ziemi leżał zgrabny sztylet.

— Swoją drogą odważną byłaś, żeś poszła do niej z wizytą i prosiłaś ją o pieniądze na twoją szkołę.

— Musiałam... chcąc przyjąć więcej uczenic.

— I myślisz, że ona przyjdzie ci z pomocą?

— Ma mi teraz odpowiedzieć... to też za nic nie chciałabym się spóźnić. Zaprowadzę małe do pokoju i pójdę.

— A przedewszystkiem nie zapomnij, Genowefo, że masz wrócić punktualnie o szóstej. Masz się widzieć z rodzicami kilku uczenic. Jeżeli nie przyjdziesz, będę ich musiała odprawić.

— Bądź spokojna, babuniu!

Poszła ku drzwiom i chwyciła za klamkę.

— Co to? — rzekła. — Drzwi się nie chcą otworzyć. Co się to stało?

Starsza pani spróbowała, lecz także napróżno.

— A to coś nowego... to tak, jakby były zamknięte...

Genowefa nachyliła się.

— Ależ tak, babuniu! spojrzyj na zamek. Przekręcono klucz z drugiej strony, podczas gdyśmy rozmawiały.

— Ależ ktoby... niepodobna... Byłybyśmy usłyszały.

— Ostatecznie, babuniu, jesteśmy uwięzione!

— No proszę! Cóż to ma znaczyć?

Starsza pani kręciła się po pokoju, poruszona, Genowefa śmiała się serdecznie.

— Jakie to zabawne, babuniu! Czemu się nie śmiejesz, babuniu? Trzeba się zawsze śmiać, kiedy nam ktoś figla spłata!

— Żartujesz! A któżby sobie pozwolił?

— Tego ja nie wiem. Ale to musi być żart, gdyż wystarczy mi otworzyć to okno i zawołać...

— Twoje uczenice są na łączce na lewo od podwórza...

— Jeżeli one nie dosłyszą, wyskoczę i obiegnę dokoła, żeby cię wypuścić.

Zbliżyła się do okna i nagle odskoczyła.

Szyba rozprysła się w kawałki i coś wpadło do pokoju, odbiło się o ścianę i potoczyło się po podłodze. Był to kamyczek.

— Jakiś papierek babuniu! — zawołała Genowefa — jakiś kawałek papieru, przywiązany sznureczkiem!

Rozwinęła go. Na papierze widać było kilka wyrazów, nakreślonych tłustem, niezgrabnem pismem. Genowefa czytała:

„Niech pani nie idzie do stawu. Grozi tam niebezpieczeństwo“.

Pani Ernemont szybko podbiegła ku młodej dziewczynie i objęła ją w ramiona.

— To prawda, moje kochanie, to prawda. Czemuż byś tam miała iść? Nie chodź tam lepiej. Ta osoba, która to pisze, dobrze wie, co mówi. Nie chodź tam, proszę cię... Nie chodź tam! Genowefa spojrzała na nią bardzo zdziwiona.

— Ależ sama dziesięć minut temu zupełnie co innego mówiłaś!

Staruszka zająknęła się:

— Prawda; ale widzisz, że jest niebezpieczeństwo, skoro cię przestrzegają...

— Ależ babuniu, to dalszy ciąg tego samego figla. Czyż spacer za białego dnia może być niebezpieczny? A zresztą, czyż mi kto źle życzy? Wszyscy są dla mnie tak dobrzy!

Siadła na oknie, zesunęła się pomiędzy kwiaty rabatki i powróciła przekręcić klucz.

— Nie bardzo groźne to nasze uwięzienie, nieprawdaż babuniu? A jednak chciałabym wiedzieć....

Zapytała służącej. Ta jednak nie wychodziła z kuchni, a stamtąd niczego podejrzanego nie widziała, ani nie słyszała. Poszła do swoich uczenic na łączkę i wypytała Karolinę, przyjaciółkę swą i pomocnicę; i ta także nie umiała jej objaśnić.

— Mniejsza z tem — rzekła — tajemnica wyjaśni się prędzej czy później!

Genowefa zaprowadziła dzieci do szkolnego pokoju, dała różne zlecenia Karolinie, poszła do siebie, włożyła kapelusz i powróciła do pani Ernemont.

— No i cóż babuniu, uspokoiłaś się nareszcie?

— Ależ naturalnie, moje dziecko. Niemądra byłam... Ten kamyk... ten głupi list...

— A więc już mogę iść?

— Trzeba nawet, żebyś poszła, kochanie. A przedewszystkiem bądź punktualną... O szóstej tu, z powrotem.

— Naturalnie, naturalnie... Do widzenia babuniu!

— Do widzenia, drogie dziecko! No pocałuj mnie jeszcze raz... mocniej, kochanie.

— Co ci jest babuniu? Wyglądasz wzruszona...

— Nie, gdzież tam, kochanko! Idź... i pamiętaj... szósta godzina... punktualnie.

II.

Pawilon, który pani Kesselbach zamieszkiwała w Zaciszu, znajdował się w samej głębi ogrodu. Przed nim leżały trzy inne pawilony tej samej wielkości i budowy, które dyrekcya wynajmowała paniom, chcącym zupełnie na uboczu mieszkać, zdala od innych pensyonarek zakładu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pożar w Zakopanem.

Najpiękniejsza polska miejscowość klimatyczna w Tatrach, urocze Zakopane, było w ubiegłym tygodniu widownią bardzo groźnego i fatalnego w skutkach pożaru, który w przeciągn niespełna 3 godzin zniszczył wspaniały, olbrzymi, tak ogólnie znany i ceniony zakład dr. Chramca. Katastrofa ta wywołała istotnie wielkie wrażenie, gdyż zakład dr. Chramca był instytucyą znaną publiczności polskiej zarówno pod zaborem austryackim, jak i w Królestwie Polskiem, lub W. Ks. Poznańskiem. Istniejąc od lat trzydziestu, rozwijał się wspaniale ze skromnych bardzo początków, a rozwijał się tylko dzięki nadzwyczajnej energii i wiedzy właściciela i kierownika dr. Andrzeja Chramca. W zabudowaniach i ogrodach zakładu skupiało się życie towarzyskie letniego sezonu Zakopanego, tam przebywało każdego roku najwięcej letników ze wszystkich stron Polski. Dziś z zakładu tego pozostały tylko gruzy.

Katastrofa dotknęła zakład dr. Chramca w chwili przełomowej, kiedy prywatna dotychczas własność dr. Chramca miała zamienić się na własność tow. akcyjnego. Za dni kilka miało się odbyć pierwsze walne zgromadzenie akcyonaryuszów, celem ukonstytuowania się.

Straszny pożar wybuchł w ubiegły wtorek o 7 rano w pracowni stolarskiej, przytykającej do głównego zakładu. Płomienie objęły z błyskawiczną szybkością i główny budynek i willę „Dziadunio", w której mieszkali pp. Chramcowie. Że zaś wszystkie budynki były wybudowane z drzewa, a od dłuższego czasu trwająca posucha przemieniła je w materyał niesłychanie łatwo palny, więc mieszkańcy zaledwie zdołali ujść z życiem w tem, co mieli na sobie, urządzenie zaś całe i garderoba spłonęły wraz z zabudowaniami. Tylko w obszernym zakładzie głównym, gdzie pożar wolniej postępował, zdołali letnicy uratować część swoich rzeczy. Natomiast całe urządzenie pp. Chramców padło ofiarą katastrofy. Między innemi zginęły piękne dzieła sztuki, obrazy Matejki, Stachiewicza, Augustynowicza, drogie dywany perskie, makaty, pamiątkowe zabytki, które pp. Chramcowie w ciągu lat otrzymali w upominku od życzliwych pacyentów. Tak samo padły pastwą pożogi urządzenia pokoji gościnnych, oraz drogie urządzenie salonu.



Pożar w Zakopanem: Ogólny widok ruin spalonego zakładu.



Fot. J. Jaworski, Zakopane.

Pożar w Zakopanem: Strażacy z Nowego Targu w ogniu.



Pożar w Zakopanem: Uratowani mieszkańcy willi „Pod Matką Boską".

Rozmiary pożaru były o tyle większe i niebezpieczeństwo tem groźniejsze, że Zakopane nie po-



Pożar w Zakopanem: Widok płonącego zakładu (od ul. Sienkiewicza).



Pożar w Zakopanem: Z akcyi ratunkowej. Na prawo zgliszcza stolarni, gdzie pożar wybuchł.



Pożar w Zakopanem: Górale i strażacy zakopiańscy, którzy się najwięcej w czasie akcyi ratunkowej odznaczyli.

siada należycie zorganizowanej straży pożarnej. To też mimo wysiłków i energii dr. Chramca, który osobiście akcyą ratunkową kierował, zdołano uratować tylko willę „Pod Matką Boską“, wszystkie inne zaś budynki, należące do zakładu, spłonęły.

O godzinie 10 rano przybył do Zakopanego oddział artyleryi z Nowego Targu i wówczas akcya ratunkowa weszła na inne tory, niestety jednak mogła się ograniczyć już tylko do gaszenia dogorywających zgliszcz i uchronienia dalszych zabudowań Zakopanego.

Szkody ogromne. Wynoszą one wedle prowizorycznego obliczenia około 500 000 koron.

Mimo to dalsze istnienie i byt zakładu dr. Chramca nie jest wcale zachwiany. Towarzystwo akcyjne, jako obecny właściciel zakładu, przystąpi już w najbliższym czasie do budowy ogromnego, dzisiejszym wymogom odpowiadającego budynku, który już w przyszłym sezonie zostanie oddany do użytku. Stracony zostanie tylko tegoroczny sezon.



Fot. J. Jaworski. Zakopane.
Pożar w Zakopanem: Obraz akcyi ratunkowej od ulicy Sienkiewicza.

Cesarz na wystawie myśliwskiej.

Otwarta niedawno w Wiedniu międzynarodowa wystawa myśliwska, gromadzi każdego dnia bardzo liczną publiczność, gdyż przedstawia się istotnie bardzo interesująco i okazale. Komitet wystawy postarał się celem ściągnięcia widzów o szereg atrakcyj w postaci rozmaitych przedstawień, kinematografów itd.

Wystawę myśliwską zwiedził już dwukrotnie cesarz Franciszek Józef, który jest jej protektorem. W czasie ostatniego pobytu na wystawie był cesarz obecny na przedstawieniu kinematograficznem, które go bardzo żywo zainteresowało, raz dlatego, że wogóle po raz pierwszy widział kinematograf, a powtóre i przedewszystkiem dlatego, że program obejmował także zdjęcie cesarza w czasie polowania.

Zamach polityczny.

Wprawdzie prasa austryacka przedstawia stosunki w krajach anektowanych jako zupełnie normalne, tak jednak nie jest. Pomimo pozornego spokoju panują tam stare namiętności, czego dowodem jest spór o sztandary z okazyi otwarcia sejmu i zamach na jenerała Vareszanina, mający bezwarunkowo podkład polityczny. Wroga Austryi prasa serbska podnieca, o ile może, namiętności, w interesie bowiem Karageorgiewiczów leży, aby Bośnia i Hercegowina były i nadal wulkanem, który ma grozić austryacko-węgierskiej monarchii.

Sprawca zamachu na jenerała Vareszanina jest człowiekiem młodym, liczy bowiem lat 26, a pochodzi z Nebseinje w Hercegowinie. W ostatnich latach uczęszczał na wydział prawniczy w Zagrzebiu, z przekonań ma zaś być anarchistą. Jak sądzą ogólnie, Zeraicz był niezawodnie zagranicznym emisaryuszem, który miał wykonać zamach o wiele poważniejszy. Jeśli się nie udał, zawdzięczyć to należy tylko czujności władz. Idąc po nitce do kłębka, należałoby go szukać z prawej strony Driny...

Mniej prawdopodobnem wydaje się przypuszczenie, że chodziło tu o akt zemsty, Zeraicz bowiem wniósł podanie do rządu krajowego o udzielenie mu stypendyum na ukończenie studyów. Podanie to odrzucono i za to Zeraicz chciał się pomścić.

Przebieg zamachu był następujący. Gdy powóz jenerała Vareszanina, którym wracał z uroczystości otwarcia sejmu bośniackiego, oddalony był o kilkaset zaledwie kroków od konaku, Zeraicz, który siedział na ławce, przepuścił go mimo siebie, poczem



Pożar w Zakopanem: Uratowana willa „Pod Matką Boską“.



Pożar w Zakopanem: Oddział artyleryi z Nowego Targu i straży pożarnej przed bramą spalonego zakładu.

pobiegł za nim i strzelił. W powozie prócz jenerała znajdował się i jego adjutant, major Heller. Vareszanin po pierwszym strzale obrócił się i zawołał: Co to za łotr? poczem wyskoczył z powozu i kazał aresztować napastnika. Ten dał tymczasem jeszcze



Zamach polityczny: Jenerał Maryan Vereszanin, szef rządu krajowego w Bośni i Hercegowinie.

cztery strzały do jenerała, poczem odebrał sobie życie ostatnim wystrzałem. Kule utkwiły częścią w powozie, częścią przeszły przez pióropusz kapelusza. Żonie jenerała, która jechała następnym powozem, nic się nie stało.

Na miejscu zamachu zebrały się tłumy publiczności, obok zwłok Zeraicza, przybyła też natychmiast policya i rozpoczęła energiczne śledztwo, którego wynik z łatwo zrozumiałych powodów trzymany jest w ścisłej tajemnicy.

Pięćdziesięciolecie kapłaństwa.

W dniu 12 czerwca b. r. obchodzono w Kosinie, w powiecie łańcuckim, podniosłą a rzadką uroczystość, pięćdziesięcioletni jubileusz kapłaństwa tamtejszego proboszcza i dziekana leżajskiego. ks. Jana Jędrzejowskiego, który pomimo podeszłego wieku z młodzieńczą rzeźkością i prawdziwem zaparciem się pełni obowiązki duszpasterskie.

Na uroczysty obchód przybył z Przemyśla ks. biskup Fischer, którego przy tryumfalnej bramie przyjęła banderya włościańska. W czasie mszy św., celebrowanej przez sędziwego jubilata, przemówił w serdecznych słowach arcypasterz, kazanie do zgromadzonego ludu wygłosił ks. Mazanek. Po nabożeństwie odbył się hołd miejscowych dzieci szkolnych, poczem zaproszeni goście udali się na plebanię, gdzie w malowniczo przystrojonej szopie, zamienionej na jadalnię, odbył się obiad na 120 osób. Prócz rodziny jubilata przybyło całe duchowieństwo dekanalne, wielu kolegów i przyjaciół sędziwego, a zasłużonego proboszcza, deputacye włościańskie i wiele innych osób.

W czasie obiadu wygłoszono szereg podniosłych toastów, w których podnoszono zasługi jubilata. Przemawiali: ks. biskup, ks. poseł Pastor, starosta łańcucki p. Wawrausch i wielu włościan, z których jeden wygłosił nader udatny wiersz własnej kompozycyi. Najbardziej wzruszającem było przemówienie ks. dra Fleszara, który wystąpił jako przedstawiciel licznej rodziny jubilata. Wkońcu podziękował serdecznie, do łez wzruszony solenizant i odczytano szereg telegramów od delegata Fedorowicza z Krakowa, ks. Andrzeja Lubomirskiego, hr. Tarnowskiego z Dzikowa, hr. Hompeschowej i wielu innych, wysoko postawionych osób. Jubilatowi wręczono nadto wiele bardzo pięknych podarunków, między innymi złoty kielich, dar kleru.

Po obiedzie odprowadziła banderya włościańska ks. biskupa na dworzec kolejowy, a uczestnicy pięknej uroczystości wspólnie się fotografowali.

Wycieczka dziatwy szkolnej.

Miłym objawem pracy na polu oświaty ludowej są wycieczki dzieci szkolnych z okolicznych miasteczek i wsi, urządzane nie po lasach i gajach, ale w Krakowie przy pomnikach narodowej sławy, gdzie



Pięćdziesięciolecie kapłaństwa: Proboszcz Kosiny, dziekan i podkomorzy ks. Jan Jędrzejowski.



Cesarz na wystawie myśliwskiej: Cesarz Franciszek Józef przed gmachem kinematografu.

młodzież nabiera uświadomienia narodowego i czerpie z zaklętych w spiż i marmur źródeł miłości ojczyzny. Dla Krakowian też widok tych barwnych szeregów młodocianych naszego ludu, pełnych zapału i życia, działa jak kwiat nadziei na smutnej dotąd roli, jak powiew świeży ducha Ojczyzny, wlewający nadzieję w piersi obrońców Jej grodu.



Pięćdziesięciolecie kapłaństwa: Uczestnicy uroczystości jubileuszowej ks. proboszcza i dziekana Jędrzejowskiego; w pośrodku Jubilat (X), obok poseł ks. Leon Pastor (XX).

W sobotę dnia 11 b. m. przybyła do Krakowa taka wycieczka dzieci szkolnych, w malowniczych ludowych strojach, z parafii Brzezie obok Niepołomic. Drużyna, ze 150 dzieci uformowana pod sztandarkami, prowadzona przez grono nauczycielskie tamtejsze. zwiedziła Barbakan, Bramę Floryańską, Kościół Maryacki i t. d.

Miła niespodzianka czekała dzieci na Skałce, gdzie staruszek ks. jubilat Federowicz. ze łzami w oczach serdecznie do niej przemawiał. Na Wawelu złożyła dziatwa hołd św. Jadwidze i wieniec z napisem: „Za Litwę“, a na grobowcu króla Jagiełły wieniec: „Za Grunwald“.

Po zwiedzeniu Muzeum, kościoła św. Anny i kapliczki św. Jana Kantego, wróciła plantami pod pomnik Unii Litwy i Polski, gdzie odśpiewała pieśni patryotyczne, za co zebrała od publiczności krakowskiej huczne oklaski.

Następnego dnia, upojona pięknościami prastarej stolicy Piastów, wróciła dziatwa do domu, z żalem rozstając się z uroczym Krakowem.



Groźba rewolucyi w Portugalii: Król Manuel II.

„Pogoń“ stryjska.

Sport nie ogranicza się już dzisiaj do miast stołecznych. Na prowincyi zrozumiano doniosłość ćwiczeń fizycznych, a z pośród miast prowincyonalnych wybija się Stryj na pierwsze miejsce. Dziś poświęcimy kilka słów tamtejszej „Pogoni I.“, która w zeszłym sezonie jesiennym zdobyła nagrodę p. Włodka, przeznaczoną dla najlepszej drużyny gimnazyalnej wschodniej Galicyi. W ciągu ubiegłego roku szkolnego brała ta drużyna udział w zawodach z obcemi drużynami, a mianowicie: z „Lechią“ ze Lwowa, z „Czarnymi Reserves“ ze Lwowa, z „Rewerą“ ze Stanisławowa, „Koroną“ z Sambora, z „Pogonią III. i II.“ a ostatnio i I. ze Lwowa.

Bardzo ładnie rozwija się także turystyka. Podczas zeszłych wakacyj odbyło 29 uczniów gimnazyum I. w Stryju ośmiodniową wycieczkę do Tatr, a illustracya nasza wskazuje nam grupę uczniów z wycieczki pieszej z Doliny przez Wygodę, Magurę do Tuchli, w której brało udział 35 uczniów tegoż gimnazyum pod kierownictwem prof. dr. Piątka, przebywając wieczorem pierwszego dnia 9 klm., a dnia następnego około 55 klm. pieszej drogi. Tegoż dnia druga grupa uczniów w liczbie 48 udała się pod kierownictwem prof. Dudryka, Targowskiego i Zabielskiego z Synowódzka pieszo przez Parakę do Skolego, robiąc około 35 klm. pieszo.



Wycieczka dziatwy szkolnej: Młodzież szkolna ze wsi Brzezie w czasie wycieczki do Krakowa.

ARNOLD BENNETT.

WIDMO

4

— Karolu — przemówiła Emmelina i urwała. Ta kobieta niewątpliwie dziwny na mnie wywierała wpływ. Samotna to była dusza, niezwykła w niej ta mieszanina pierwiastków najbanalniejszych, konwencyonalnych i czegoś wręcz przeciwnego, czegoś dziwacznego, niepokojącego i niezrozumiałego. Czułem dla niej sympatyę.

— No co? — szepnąłem.

— Czy ty wierzysz w świat nadprzyrodzony?

— Ani wierzę, ani nie wierzę — odpowiedziałem — gdyż nigdy nie spotkało mnie nic, coby było tego rodzaju zjawiskiem. Ale to ci mogę powiedzieć, że nie jestem skończonym i zatwardziałym materyalistą.

I dodałem jeszcze:

— A ty czy wierzysz?

— Naturalnie — odrzekła krótko.

— A więc, skoro naprawdę wierzysz, skoro dla ciebie jest to rzecz poważna, dlaczego robisz z tego widowisko dla żartownisiów?

— Ach! — westchnęła — wielu z nich mnie gniewa. Lubię się bawić w stosunki z nadprzyrodzonym światem. Ale pomyślałam, że to zrobi dobry efekt na tem przyjęciu Sullivana. Sullivanowi bardzo na tem zależy, żeby się to pierwsze nasze wielkie przyjęcie udało. Mówi, że się musimy reklamować.

To wyjaśnienie powodów dane było tak naiwnie, tak szczerze i tak poprostu, że nie mogłem się oburzać.

— Gdzież jest kryształ? — zapytałem.

— Tu — rzekła — przysuwając szklaną kulę, tak nagle, że to wyglądało na czary, z nieoświetlonej części stołu w obręb jasnego owalu. Doskonale okrągłą kulę musiała ręką przytrzymać, gdyż na gładkiej powierzchni stołu nie chciała się utrzymać.

— A więc to to? — zauważyłem.

— Karolu — rzekła — powinnam cię przestrzedz. Parę tygodni temu, ujrzałam w krysztale twarz mężczyzny, którego wtedy nie znałam. Widziałam go potem znowu, a zawsze w związku z tą samą sceną. Później poznałam ciebie na przedstawieniu opery w przeszłym tygodniu... Czy zauważyłeś może, że owego wieczoru trochę dziwnie się zachowywałam?

— Zauważyłem — odrzekłem.

— Ty jesteś tym mężczyzną, który mi się ukazał w krysztale.

— Doprawdy? — zawołałem, uśmiechając się, a przynajmniej starałem się uśmiechnąć. — I jakże się przedstawia scena, w której mój obraz gra rolę?

— Ty stoisz... Ale nie, wolę nie mówić...

Urwała nagle, odkaszlnęła i wielkie swoje oczy utkwiła we mnie. Z poza drzwi dolatywały dalekie dźwięki orkiestry i urozmaicony gwar wielkiego tłumu. Jednakże ten ciemny pokoik z jaskrawą, owalną plamą światła odcięty był od wesołego widowiska zewnątrz. Mimowolny dreszcz przebiegł po mnie i nie mogłem spokojnego wzroku dotrzymać na twarzy tej wysokiej, milczącej kobiety, która na mnie tak przejmujące czyniła wrażenie. Czekałem, czy nie powie czegoś więcej; wreszcie po dłuższej przerwie przemówiła:

— Czy ty się nie boisz? Powiedz!

— Nie boję się, naturalnie.

— W takim razie patrz się w kryształ i staraj się zobaczyć to, co ja widziałam. Ja ci nie powiem. Ty sam staraj się zobaczyć. Może ci się uda, jeśli ci dopomogę. A teraz wypędź z duszy wszelkie inne myśli i patrz ze skupieniem... Patrz!

Przysunąłem ku sobie kryształową kulę.

— Głupstwo! — mruknąłem cicho sam do siebie.

I chciwie zatopiłem wzrok w głąb kuli kryształowej, pełnej dziwnych, błyskających świateł... Ale niczego dojrzeć nie mogłem.

— To na nic! — rzekłem — będziesz mi musiała powiedzieć, coś tam widziała.

— Cierpliwości... Jeszcze czas. Popatrz jeszcze. Ujmij moją rękę w twoją prawą rękę.

Usłuchałem i siedzieliśmy tak oboje w napięciu milczenia. Po jakich paru minutach kryształ jakoby pociemniał, a potem się zwolna rozjaśnił. Drżałem nieswój jakiś i pełen trwożnego oczekiwania.

— Ty coś widzisz — szepnęła mi smutno do ucha.

— Jeszcze nie, jeszcze nie — odpowiedziałem. — ale to nadchodzi... Tak, widzę siebie i... i... jakąś kobietę... bardzo piękną kobietę. Ja trzymam jej rękę.

— Czy ty nie poznajesz tej kobiety?

Głos Emmeliny znów jak skarga łzawa, zadrżał w moich uszach. Poznałem, kim jest ta kobieta i pot wystąpił mi na czoło.

— To Rozetta Roza!

— I co więcej widzisz jeszcze? — głos pytający badał nielitościwie.

— Widzę twarz jakąś za nami — wyjąkałem — ale co to za twarz, tego nie mogę rozróżnić... Grozi mi ta twarz!... Grozi mi!... To coś straszliwego... To mnie zabije! Ach!...

Zerwałem się gwałtownym ruchem. Kula kryształowa, nieprzytrzymywana, stoczyła się ze stołu na podłogę i z głuchem stuknięciem padła na miękki kobierzec. Słyszałem podniecony oddech Emmeliny.

W tejże chwili rozsunęła się podwójna kotara i ktoś stanął w czerwonem świetle japońskiej latarni.

— Czy jest tutaj pan Foster? Chciałabym go zabrać — mówił jakiś głos. A był to głos Rozetty Rozy.

Tuż za nią stał Sullivan.

— Domyślałem się, że ty tu jesteś — roześmiał się mój kuzyn.

Rozdział V.

Przesuwałem się z Rozettą Rozą przez tłum ku wyściu. Porozmawiała chwilę z Emmeliną, która aż pobladła z zadowolenia wobec szczerej uprzejmości jej tonu; potem pogawędziła jeszcze wesoło z samym Sullivanem. Wszyscy byliśmy pod wrażeniem piękności jej i jej wdzięku, a już ja pewnie najbardziej. Wkońcu jakoś tajemniczo poprosiła mnie, bym ją odprowadził do karety.

Teraz, czując rękę jej, opartą na mojem ramieniu, zupełnie nie mogłem uwierzyć, by ona jakbądź w zły sposób oddziałać mogła na przyszłe moje losy. Śmiesznem wydawało się, iżby ona stać się mogła niebezpieczeństwem mojego życia. Była przecież wcieleniem dobroci i prostoty. Nie było w jej istocie ani cienia złowieszczej grozy, a przytem, przy całej swej nadzwyczajnej piękności i wdzięku, była uosobieniem zwykłej codzienności. Muszę to powiedzieć, choć to może w oczach niejednego zmniejszy jej urok. Była uosobieniem zwykłej codzienności, gdyż stale robiła wrażenie, że nie zdaje sobie sprawy z wyższości swego talentu. Nie przygniatał on jej swoim ciężarem, tak jak przygnia wielce wybitnych artystów. Lekko nosiła ten dar nieba, na pozór nieświadoma, że go posiada. I tak niktby nie odgadł, że tegoż wieczora odniosła na scenie opery niesłychany tryumf w najwspanialszej swojej roli, w roli *Szoldy* w Trystanie.

To też obecność jej przy moim boku ukoiła prawie natychmiast zaniepokojenie moje. Odczuwałem władzę jej nad sobą, lecz nie obawiałem się, by władza ta mogła stać się zgubną.

— Panie Foster — przemówiła — poprosiłam, byś mnie pan odprowadził do karety, ale ja właściwie o coś więcej chcę poprosić. Chcę prosić pana, byś pojechał ze mną do biednego Alreski. Stan jego poprawia się stale, ale biedny człowiek wpadł w zupełne przygnębienie. Odwiedziłam go dziś po południu i on mnie prosił, ażebym, jeżeli pana dziś wieczór zobaczę, przywiozła pana do niego. Chce on panu uczynić pewną propozycyę, której, mam nadzieję, że pan nie odmówi.

— W takim razie przyjmuję ją z góry — odpowiedziałem.

Wyciągnęła maleńki złoty zegareczek, wysadzany brylantami.

— Jest teraz wpół do drugiej — rzekła. — Możemy tam być za dziesięć minut. Panu chyba to nie przeszkadza, że to już tak późno? My śpiewacy, jak pan wie, mamy inne godziny.

Musieliśmy zaczekać w foyer, dopóki nie zawołano karety. Stałem obok niej cichy i zamyślony, przejęty szczęściem i dumą, że wolno mi jej towarzyszyć. Ubrana była jasno popielato, miała na sobie obszerny płaszcz, podbity gronostajami i nie nosiła innych klejnotów, oprócz małego, drogimi kamieniami wysadzanego sztyleciku w pięknych włosach.

Nagle ujrzałem rumieniec na twarzy Rozetty; idąc w kierunku jej oczu, spostrzegłem Sir Cyryla Smart, którego przestraszony wzrok spoczywał na jej twarzy. Oprócz lokajów i personalu hotelowego, zaledwie kilka osób znajdowało się w tej chwili w wielkiej wchodowej sieni. Sir Cyryl był prawie tak blady, jak marmur podłogi. Zrobił krok naprzód i stanął. I ona także, zdawało się, że mimowoli posunęła się ku niemu.

— Dobry wieczór, Miss Rozo — przemówił wkońcu, składając sztywny ukłon. Odpowiedziała na pozdrowienie i znowu, milcząc, patrzyli na siebie. Nie rozumiałem ich zachowania.

Wtedy Roza powoli i z namysłem sięgnęła ręką do włosów i wyciągnęła drogimi kamieniami wysadzany sztylecik.

— Sir Cyrylu — przemówiła — ta mała broń, zdaje się, urzekła pana? Czy ją pan poznaje?

Ani odpowiedział, ani się poruszył, ale zauważyłem, że ręce konwulsyjnie zacisnął.

— Czy pan to poznaje, Sir Cyrylu?

Nareszcie skinął głową.

— Więc weź go pan. Oddaję panu ten sztylecik. Dziś wieczór, w tej chwili zrobiłam odkrycie, że po mnie masz pan do niego najbliższe prawo.

Otworzył usta, chcąc mówić, ale nie wydał głosu.

— Patrz pan! — rzekła — to prawdziwy sztylet, ostry i kłujący!

Szybkim ruchem odrzuciwszy płaszcz, już miała naciąć skórę na lewem ramieniu pomiędzy długą rękawiczką a rękawem wyciętej swej sukni, lecz Sir Cyryl i ja poskoczyliśmy, by ją wstrzymać.

— Nie czyń pani tego! — rzekłem. — Może się pani skaleczyć!

Spojrzała na mnie, gniewna przez chwilę; gniew jej jednakże przeszedł w lodowaty uśmiech.

— Proszę to przyjąć, Sir Cyrylu, dla dogodzenia mi, proszę przyjąć.

Powiedziała to z dziwnym naciskiem.

I Sir Cyryl przyjął z jej ręki sztylecik.

Zameldowano karetę.

Skinąwszy na mnie, Roza wyniosłym ruchem zaczęła zstępować po schodach. Już teraz nie było uśmiechu na jej twarzy, lecz wyraz skupiony, zamknięty. Sir Cyryl stał, jak skamieniały, trzymając w ręku sztylecik.

Konie Rozy uwiozły nas szybko od wrót wielkiego hotelu. Zdawało mi się, że Roza pragnie zapomnieć lub zatrzeć wrażenie całego tego dziwnego zajścia. Przez chwilę siedziała milcząca, z pochyloną głową i nic nie zdradzało jej wzruszenia, tylko piersi jej falowały przyspieszonym oddechem.

Wiedziony dyskrecyą, nie starałem się nawiązać rozmowy, by nie przerywać jej myśli; wydawało mi się bowiem, że scena, której świadkiem byłem co dopiero, musiała być nagłem jakiemś i strasznem przejściem nietylko w życiu Sir Cyryla, ale i w życiu tej pięknej, w ciemności obok mnie siedzącej dziewczyny.

Niedaleko jeszcze zdążyliśmy ujechać, gdy ona spojrzała na mnie i roześmiała się.

— Myślę — rzekła — że lekarz nie na każdą chorobę może mieć lekarstwo.

— Nie na każdą — odpowiedziałem.

— I młody lekarz także nie? — dodała z zabawną powagą.

— I młody lekarz także nie — odpowiedziałem poważnie.

I roześmialiśmy się oboje.

— Niech pan wybaczy ten żart — mówiła dalej — lecz nie umiem nie żartować, zwłaszcza gdy mi na duszy ciężko...

— Kogo pani miała na myśli, stawiając mi to pytanie? — badałem.

— Myślałam o Alresce — szepnęła — o moim biednym Alresce. To najszlachetniejszy człowiek i wielki artysta... i cierpi...

— Trudno — odpowiedziałem — złamanie nogi, to nie drobnostka.

— Nie o nodze jego mówię. Co innego mam na myśli.

— Co takiego?

Potrząsnęła głową na znak, że nie umie na to odpowiedzieć.

Tu muszę nadmienić, że na drugi dzień po wypadku wziąłem dorożkę i kazałem się zawieść do mieszkania Alreski. Tuż przed moją dorożką jednak zajechała inna dorożka i ujrzałem, że wysiada z niej profesor Mac Whirter. Znakomity chirurg widocznie, pomimo danych mi wskazówek, uważał sławnego tenora za swego pacyenta. Trudno mi przecież było spierać się z nim o to, więc też natychmiast zawróciłem. Dlatego dotąd, od dnia wypadku, nie widziałem już chorego.

— Czy wolno mi zapytać, w jakim celu pan Alreska chce się ze mną widzieć? — zapytałem ostrożnie.

— On sam to panu powie — odpowiedziała Roza niemniej ostrożnie.

Nastąpiło milczenie.

— Czy pan sądzi, że ja owego wieczoru byłam powodem szkodliwego dla niego wzruszenia? — zapytała.

— Jeżeli mam być szczerym, to powiem, że tak...

— I sądzi pan, że źle postąpiłam?

— Tak sądzę — odpowiedziałem.

— Może ma pan słuszność — przyznała.

Byłem odważnym w mojej szczerości. Zebrałem się na jeszcze większą odwagę.

— Pani mówi, że on jest przygnębiony — rze-

kłem — ośmielę się twierdzić, że to nic dziwnego.

— Och! — zawołała — a to dlaczego?

— Zważywszy to, co mu pani wówczas w garderobie powiedziała. Gdybym był na miejscu Alreski, wiem, że byłbym przygnębiony... i to bardzo przygnębiony.

— Tak pan sądzi?.. — wyjąknęła.

— Tak — odrzekłem — tak sądzę.

Posunąłem się daleko i serce biło mi trwożnie. Nie zdziwiłbym się w tej chwili, gdyby zatrzymała powóz i kazała mi wysiąść. Lecz dobroć jej była anielską.

— Pan myśli o tem — rzekła łagodnie — że on mnie kocha, a że ja właśnie ów wieczór wybrałam na to, ażeby dać mu odprawę?

Skinąłem głową.

— To przecież chyba wystarczająca przyczyna dla wyjaśnienia czyjegoś przygnębienia...

— Myli się pan — odpowiedziała łagodnie. — Pan nie zna Alreski. Pan nie wie, jaką siłę ducha ten człowiek posiada. Mogę pana zapewnić, że niszczy go co innego, że niszczy go coś więcej, niż sama miłość nieodwzajemniona.

— Niszczy go, mówi pani?

— Tak, niszczy jego siły. Alreska zdolnym jest zgnieść w sobie przelotne uczucie. Duch jego potrafi wznieść się nad cierpienia i dolegliwości ciała i ponad cierpienia serdeczne. To, co go nurtuje, to jest coś, co dotyka najtajniejszych sprężyn jego ducha.

— I pani nie wyobraża sobie, co to być może?

Nie odpowiedziała.

— Doktorzy naturalnie tego rodzaju choroby uleczyć nie umieją — rzekłem

— Mogą próbować — rzekła.

— I pani sobie życzy, żebym ja spróbował? — spojrzałem jej prosto w twarz.

Pochyliła głowę.

— A więc spróbuję — zawołałem z przejęciem, zapominając, że nawet lekarzem Alreski nie jestem.

Kareta stanęła. W przeciągu mniej niż kwadransa staliśmy się prawie bliscy sobie.

Służący Alreski oczekiwał nas w bramie hotelu i nie mówiąc słowa, zaprowadził nas do swego pana.

Alreska leżał na wznak na posłaniu w wielkim i zbytkownie urządzonym salonie. Tragiczna była bladość jego twarzy i gorączkowy blask jego oczu i znowu przyszedł mi na myśl tragiczny, posępny trzeci akt *Tristana.* Powitał nas uprzejmie spokojnym swoim głosem.

— Sprowadziłam młodego człowieka — przemówiła Roza — a teraz, dowiedziawszy się, jak się pan czuje, muszę uciekać. Późno już. Jakże, czy lepiej się pan czuje?

— Lepiej mi teraz, skoro panią widzę — uśmiechnął się Alreska. — Ale niech pani jeszcze nie odchodzi. Już od tylu dni nie słyszałem ani jednego tonu. Niech mi pani co zaśpiewa, zanim pani pójdzie!

— Dziś jeszcze? Teraz, w nocy?

— Dziś jeszcze. Teraz, w nocy.

— I cóż mam panu zaśpiewać?

— Cokolwiekbądź, bylebym głos pani usłyszał.

— Zaśpiewam „Sen Elzy“. Ale kto mi zaakompaniuje? Pan wie, że ja poprostu nie mogę sama sobie akompaniować do śpiewu.

Zebrałem całą moją odwagę.

— Gram bardzo marnie — odezwałem się — ale znam całą partyturę Lohengrina.

— O, jak to ładnie — roześmiała się Roza. — Pewna jestem, że pan bardzo pięknie gra!

Alreska spojrzał na mnie wdzięcznie, a ja, drżąc, siadłem do fortepianu. Miałem rozpaczliwą tremę i zaledwie wyszedłem z honorem. Ale też akompaniowałem najcudowniejszemu sopranowi w świecie.

Roza stała tuż przy mnie; nie ginął dla mnie najlżejszy odcień jej czarodziejskiego głosu, żaden odcień wyrazu, żadne subtelne drgnięcie uczucia. Słyszałem później śpiew jej wiele razy, ale chyba nigdy nie śpiewała tak, jak owego wieczora. Była głęboko wzruszoną; miała w Alresce idealnego słuchacza; boski jej głos brzmiał dziś, jak nigdy.

— Jesteś pani niezrównaną — przemówił Alreska. Pochwała z jego ust, z ust takiego artysty, wywołała na twarz jej rumieniec.

— Przybliż się pani — szepnął i ucałował jej rękę. — Głos pani dzisiaj brzmi wprost idealnie...

— Doprawdy?

— Tak. Coś panią poruszyło, a ja już zauważyłem, że pani najlepiej śpiewa wtedy, gdy jest pani wzruszoną...

— To być może — odpowiedziała. — Prawda, że dziś zobaczyłam... zobaczyłam kogoś, którego nie spodziewałam się nigdy zobaczyć. To tylko to, nic więcej. Dobranoc, drogi przyjacielu.

— Dobranoc.

Dotknęła łagodnie ręką jego czoła i skinąwszy mi głową, wyszła.

Alreskę po jej wyjściu ogarnęło niezmierne znużenie.

— Wyobrażam sobie — zauważyłem — że to nie z przepisu doktora Mac Whirter'a trzymasz się pan tak późnych godzin. Zegary biją drugą.

— Ach, mój przyjacielu — odpowiedział zmęczony — czy to źle czy dobrze, muszę tak żyć, jak się przyzwyczaiłem. Od dwudziestu lat chodzę spać o trzeciej, a wstaję o jedenastej. Czyż mam



Genowefa bezsilna, milcząc, dała się ciągnąć...

ten tryb zmieniać dla złamanej nogi? Za godzinę ludzie moi zaniosą mnie z tem posłaniem do mojej sypialni. Wtedy udawać będę, że śpię, ale spać nie będę. Jakoś w ostatnich czasach sen mnie opuścił. Dotychczas broniłem się przed sztucznymi środkami, ale chyba będę musiał poprosić pana o jakieś lekarstwo na sen. Dawniej musiałem wola przymusić się do snu. Ale nie teraz, nie teraz!

— Ja nie jestem lekarzem pańskim — zaprotestowałem.

— Wybacz pan, ale jesteś pan lekarzem moim — rzekł, patrząc na mnie spokojnie i dobrotliwie, co mnie aż do głębi serca wzruszyło. — Pamiętam dobrze lekką rękę pańską i zręczność, z jaką przy owym wypadku dałeś mi pan pierwszą pomoc. Dziś ten mały Szkot mi powiedział, że moja noga znakomicie się zrasta i że już tylko potrzebuję pielęgnowania. Prosiłem go, żeby pana naznaczył na swego następcę. On sam bardzo pana chwalił. Tak więc, panie Foster, czy zechce pan objąć moją kuracyę? Chciałbym, żeby mnie pan należycie zbadał, gdyż, jeżeli się nie mylę, muszę cierpieć na jakąś zagadkową chorobę.

Można sobie wyobrazić, jak mnie uszczęśliwiła i jak mi pochlebiła ta propozycya. Byłbym rad wyściskał Alreskę i jak dzieciak skakał po pokoju...

Naturalnie przybrałem wielce poważną minę i podziękowawszy za zaufanie, jąłem ściśle zawodowo wypytywać się o symptomy choroby.

— Nie ma żadnych symptomów — odpowiedział — z wyjątkiem stopniowej utraty sił żywotnych. Ale proszę, niech mnie pan zbada.

Zbadałem go bardzo starannie i wypytałem szczegółowo.

— No i cóż? — zapytał, gdym namyślał się, skończywszy.

— Otóż, łaskawy panie, mogę tylko panu powiedzieć, że pan ma nazbyt żywą wyobraźnię. Na to pan choruje, na nazbyt żywą wyobr...

— Pozwól, drogi przyjacielu — przerwał mi stanowczym głosem. — Przedewszystkiem proszę pana, bądź ze mną szczerym zupełnie. Niezłym jestem znawcą fizyognomii, a z pańskiej czytam, że stan mój jest dla pana zagadką.

— Przyznaję — odpowiedziałem. — Nie jesteś pan zwykłym człowiekiem, inaczej też z panem mówić należy, sam widzę. Wistocie, wyznaję, że stan pański jest zagadką dla mnie. Nie ma pan żadnej organicznej choroby, ale niewytłómaczoną niczem słabość organiczną, której wyjaśnienia trudno szukać w złamaniu nogi. Muszę pana obserwować i odkryć przyczynę złego. Tymczasem dać panu mogę jedną tylko radę. Niech pan pamięta, że szczęśliwy obrót rzeczy zależy głównie od silnej woli pańskiej.

— Dziękuję panu — odpowiedział. — Co się jednak tyczy siły woli, to już inna sprawa...

Po przystojnej jego, melancholijnej twarzy przemknął lekki uśmiech.

Była to już prawie trzecia godzina. Wstałem, chcąc się pożegnać.

— Zostań pan jeszcze chwilę. Mam jeszcze prośbę do pana.

— Jestem na usługi pańskie — odrzekłem.

— Panie Foster — zaczął — jesteś pan wielce wykształconym i obiecującym młodzieńcem i zaczynasz swoją życiową karyerę. Niewątpliwie też ułożyłeś już sobie plan dalszy przyszłości. Ja jestem obcy dla pana i może to zarozumiale z mej strony, chcieć te plany pańskie zmieniać. A jednak będę w tej chwili tak zarozumiałym. Może mi szczęście posłuży... Panie Foster, ja pragnę wyjechać z Anglii. Pragnę umierać w ojczyźnie...

Zrobiłem gest protestu przy słowie „umierać“.

— Powiem, jeśli pan woli, że pragnę żyć w ojczyźnie. Czy zechce pan pojechać ze mną, jako mój towarzysz? Pewien jestem, że byłoby nam dobrze ze sobą. Jabym korzystał z umiejętności pańskiej i z przyjemności pańskiego towarzystwa — a pan, pan byłby względny dla kaprysów moich i moich dziwactw. O warunkach mówić nie potrzebujemy; zastosowałbym się do pańskiego żądania.

Chociaż nie miałem żadnego powodu poddawania się temu życzeniu, ani też żadnych zobowiązań wobec tego obcego mi w gruncie człowieka, tajny głos jakiś skłaniał mnie do przyjęcia. Może być, że grała tu rolę tajemna nadzieja, że wiążąc się z osobą Alreski, będę miał możność spotkania Rozetty Rozy.. Zresztą pociągał mnie on sam. Do Alreski lgnęły serca ludzi. Już teraz czułem do niego więcej, niż sympatyę.

— Widzę z twarzy pańskiej — przemówił — że propozycyi mojej nie jest pan niechętny. Czy się pan zgadza?

— Z ochotą — odpowiedziałem z uśmiechem. Słowa te jakby bez mojej woli z ust mych wypłynęły.

— To bardzo poczciwie ze strony pańskiej!

— Bynajmniej — rzekłem. — Jeszcze sobie żadnych planów przyszłości nie ułożyłem. A potem, uważam to za zaszczyt dla siebie; wreszcie wyznaję, że pański „przypadek“ — niech pan to określenie daruje — interesuje mnie wielce. Dokąd pan zamierza jechać?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z wyścigów krakowskich.

Tegoroczny krakowski meeting wiosenny, urządzony na torze wyścigowym za rogatką Wolską, przez międzynarodowe towarzystwo wyścigów konnych i klub jazdy panów, rozpoczął się w ubiegłą niedzielę przy nadzwyczajnie licznym udziale publiczności, interesującej się sportem i... totalizatorem.

Pierwszy dzień wyścigów nie zawiódł też publiczności, gdyż biegi gromadziły zawsze u startu sporą ilość koni, więc i emocye były silne i było ich dużo.



Z wyścigów krakowskich: „Biuro“ dwóch bookmacherów na torze krakowskim.

W dniu tym było siedm biegów, z których kilka nawet prawdziwie interesujących. Do tych należał przedewszystkiem oficerski bieg z przeszkodami, zakończony zwycięstwem „Sattana“ por. Lammera, pod por. Langiewiczem, zwycięstwem niespodzianem o tyle, iż przepowiadano je „Torskiemu“ rotm. Kollera.

Bardzo ładne dwa zwycięstwa odniosła stajnia pp. Zangenów, raz „Ordonką“ drugi raz „Igorem“. Wśród koni półkrwi dominują konie Zdzisława hr. Tarnowskiego i Kazimierza Ostoja-Ostaszewskiego.

Nowością, po długiej przerwie z powrotem na tor wyścigowy dopuszczoną, byli dwaj bookmacherzy, przedstawiciele firmy Lackenbachera i J. Dobrina i Sp. Swego czasu wykluczyły władze bookmacherów z toru krakowskiego, dopiero obecnie przywrócono im prawo obywatelstwa. Publiczność zadowolona z tego bardzo, a dowodem najlepszym wielki ruch, jaki panował już w pierwszym dniu obok obu bookmacherów. Najniższa stawka wynosi tam 50 kor., zabawka więc u nich dostępna jest tylko dla zamożnych sportowców.

Znacznie tańszych emocyi, bo już za 10 kor., dostarcza totalizator, który jak zawsze był oblężony. Szczęśliwi gracze byli z pierwszego dnia zupełnie zadowoleni, gdyż wygrane były wcale pokaźne.

Rewelacye „nawróconego“ szpiega.

Kuryer Warszawski ogłosił w ubiegłym tygodniu szereg rzekomo autentycznych korespondencyi między rządem pruskim a różnemi indywiduami, pracującemi na jego korzyść na terenie galicyjskim, oraz podał imienną listę osób, pozostających na żołdzie pruskim. Dokumentów tych dostarczył redakcyi osławiony, a dziś podobno już nawrócony szpieg, Bolesław Rakowski, znany zbyt dobrze naszemu społeczeństwu, jako osobnik, nie zasługujący stanowczo na wiarę.

Dotychczasowe postępowanie tego byłego szpiega, przebywającego obecnie w Paryżu, nie daje absolutnie gwarancyi, że to, co wyjaśnia, pod każdym względem zgodne jest z prawdą. Wątpliwość co do tego wyraziła już bardzo w tej sprawie interesowana prasa poznańska, gdy przed kilku miesiącami pojawiły się pierwsze ogólne rewelacye Rakowskiego w lwowskiej „Rzeczypospolitej“.

Rząd pruski utrzymuje w Galicyi cały system szpiegowski. O tem wie każdy, wykazały to zresztą dowodnie ostatnie procesy krakowskie, oraz rezultaty śledztwa w sprawie Jacoba. Główna uwaga Niemców zwrócona jest na wschodnią Galicyę. Tutaj pruskie marki mają zadanie podsycać antagonizm polsko-ukraiński, aby w ten sposób osłabić obie narodowości i ich odporność przeciw germańskiemu zalewowi. Że jest to niestety prawdą, świadczy o tem sympatya, jaką krótkowidzący Ukraińcy okazują Niemcom, uważając ich za naturalnych sprzymierzeńców w walce z Polakami. Tego samego zdania jest i staroruski „Hałyczanyn“, który omawiając rewelacye Rakowskiego, zaznacza wyraźnie, że są



Rewelacye „nawróconego“ szpiega: Bolesław Rakowsk który dostarczył *Kuryerowi Warszawskiemu* rzekomo autentycznych dokumentów.

one wprawdzie w niektórych szczegółach niedokładne, w ogólnych natomiast zarysach wierne.

Inaczej natomiast zapatruje się na tę sprawę ukrainofilskie *Diło*. które wywody Rakowskiego nazywa bezwstydnymi, grubymi i kłamliwymi wymysłami i stwierdza, że kompromitują tylko polskich publicystów, którzy wierzą szpiegowi, co daje subwencye ludziom i towarzystwom, jakich w Galicyi zupełnie nie ma.

W tym wypadku *Diło* jest w błędzie. Prasa polska nie dlatego zamieściła rewelacye Rakowskiego, jakoby im stanowczo wierzyła, ale jedynie w tym celu, aby przewietrzyć duszną atmosferę i przez ścisłe a energiczne śledztwo dać sposobność ludziom, zacytowanym przez byłego szpiega, do oczyszczenia się przed forum publicznem. Jeśli Rakowski pewnym jest swych wywodów i ma na nie dowody, powinien zjawić się tutaj i wystąpić z otwartą przyłbicą, strzelanie zaś z za płotu każe żywić nadzieję, że jest to tylko nędzna mistyfikacya, mająca w jednym wypadku na celu osobistą zemstę, w drugim przysłużenie się komuś, kto tylko czeka na to, aby o ile możności wprowadzić między nas rozdwojenie.



„Pogoń“ stryjska: Uczniowie gimnazyum na wycieczce w górach.



„Pogoń“ stryjska: Drużyna footballowa „Pogoń I.“ w Stryju.

Kronika tygodniowa.

(Wakacye. — Dlaczego o nich zapomniano. — Przygotowania. — Zakopane. — Radość niewiast. — Pocieszenie dla słomianych wdowców. — Jak ja sobie poradziłem. — Vis major. — Cholera w Podwołoczyskach. — Rewelacye nawróconego szpiega. — Komu to jest na rękę. — Choroba Wilusia. — O sufrażystki. — Kraków a Lwów. — Wyścigi a totalizator. — Gorące czasy dla posłów. — Biliński contra kanały. — Trzeba umieć prosić! — Ruski uniwersytet i jego pierwszy rektor).

Dzięki komecie, brakowi wody i cholerze, które naszą uwagę zupełnie w inną stronę skierowały, aniśmy się spostrzegli, że wakacye już za pasem i że trzeba na gwałt myśleć o wysłaniu rodziny na świeże powietrze, co u każdego z ojców i małżonków połączone jest z nadzwyczajnymi wysiłkami, dążącymi do uregulowania spraw budżetu domowego. Rozpoczynają się więc pertraktacye z różnymi Aronkami, Dawidkami i innymi przyjaciółmi mojżeszowej waluty, ponieważ jednak każdy z nas przynajmniej trzy razy w roku znajduje się w tem miłem położeniu, przyzwyczailiśmy się już do tego, i nie narzekając wcale na los garbaty, zabieramy się do dzieła. Święta Bożego Narodzenia, Wielkanoc i wyjazd na świeże powietrze, to trzy krytyczne terminy dla każdego z władców ogniska domowego, a szczęśliwym musi się nazwać, kto tylko trzy razy w roku musi myśleć o tego rodzaju sanakcyi swych finansów.

Sezon w miejscach kąpielowych i uzdrowiskach rozpoczął się w całej pełni, gdyż jak donoszą z Zakopanego, pokryły się już Tatry śniegową szatą, a deszczyk ze śniegiem zacina od czasu do czasu. Zakopane staje się więc znakomitem uzdrowiskiem, do którego radzę każdemu wysłać swą teściową, zwłaszcza, jeśli jest ona wrażliwą na gwałtowne zmiany temperatury, w przeciągu jednej bowiem nocy spadła ona z 35° Cel. na 3°! Do wiadomości łaskawych Czytelniczek podaję także okoliczność, która je niezawodnie ucieszy. Dyrekcya kolei postąpiła w myśl ich intencyi, znosząc zniżone ceny biletów do Zakopanego, wobec czego t. zw. kominiarskie pociągi sobotnie nie będą się już cieszyć taką frekwencyą, ergo i panie nie będą narażone na zbyt częste wizyty małżonków. A nie zawsze są one pożądane.

Co się zaś tyczy słomianych wdowców, którzy niestety, zmuszeni stosunkami, pozostaną w skwarnych murach miasta, to sądzę, że i oni bawić się będą niezgorzej, mamy bowiem operetkę lwowską, mamy warszawski kabaret, mamy też teatr ludowy, co razem wziąwszy, pozwoli nam zapomnieć o naszej samotności po wyjeździe „na świeży *luft*“ czcigodnej magnifiki i pociech wszelkiego rodzaju. Niechaj jednak towarzysze mej niedoli, gdyż i ja zostaję przez wakacye samotny w Krakowie, nie myślą, że chcę ich zdradzić przed żonami, myślę bowiem, że żony tak im wierzą, jak moja mnie, a moja pozostawiła mi już wolną rękę, wobec czego wakacye spędzę, jak będę uważał za najwygodniejsze, chociaż na żadne ekstrawagancye pozwolić sobie nie mogę, gdyż jako anioła stróża, pilnującego małżeńskiego raju, zostawiła starą kucharkę, która już czterdziesty szósty rok służy u jej rodziny, a w bieżącym miesiącu kończy sześćdziesiątą wiosnę dziewictwa.

Ponieważ wiem jednak z doświadczenia, że i w starym piecu czasem dyabeł pali, po głębokiej rozwadze znalazłem środek, który uwolni mnie od jej argusowych spojrzeń. Każda niewiasta, nawet najcnotliwsza i najbardziej zaawansowana w latach, wzdycha jednak z utęsknieniem do owych przyjemności, jakich nastręcza miłość i żadna nie byłaby im się oprzeć w stanie. Otóż i ja postanowiłem uż,ć podstępu i wynalazłem młodego człowieka, pozostającego w służbie Marsa, który zobowiązał się (młody ów człowiek, nie Mars!) za pewnem niezbyt wygórowanem wynagrodzeniem, płatnem naturalnie z dołu, gdyż mógłby mnie wykiwać, udawać zakochanego w moim żeńskim cerberze. Wiadomo zaś, że miłość działa cnda, spodziewam się więc, że uda mu się rozpalić żar miłości w wygasłem już dziewiczem sercu mojej Kasi, wobec czego ona, myśląc o swym ideale, będzie też i dla mnie wyrozumiałszą! Środek ten, którego, przyznam się w sekrecie, dotąd nie używałem, wydaje mi się być bardzo praktycznym, polecam go więc i innym słomianym wdowcom, nie jestem bowiem tak zatwardziałego serca, by go opatentować i tylko samemu ciągnąć zeń korzyści.

Z powodu wakacyi zamykają się i gościnne podwoje naszych krajowych i cesarsko-królewskich fabryk oleju, zwanych pospolicie szkołami, a zacni pedagogowie i młode pokolenie, powierzone ich pieczy, rozjeżdżają się w różne strony, aby odpocząć po całorocznej pracy i nabrać świeżych sił. Tegoroczne ferye będą jednak różnić się od innych, z powodu bowiem obchodu grunwaldzkiego wielu wakacyjników powróci w połowie lipca do Krakowa, aby wziąć udział w tej manifestacyi narodowej, o ile naturalnie jakaś *vis major* nie stanie na przeszkodzie.

Jak się zaś zdaje, uroczystość ta nie pójdzie tak gładko, jakby ktoś może myślał, gdyż powoli w miarę jej zbliżania się, poczynają się już sprawdzać moje przepowiednie. Na razie mamy dopiero cholerę i to już urzędownie skonstatowaną, wprawdzie nie brodzką, ale maszerującą do nas przez Podwołoczyska, więc niezwykłą drogą, a taka ma być według orzeczenia c. k. bakteryologów i hygienistów daleko złośliwszą i uporczywszą. Prasa, inspirowana przez przeciwników Grunwaldu, już z racyi sporadycznych wypadków tyfusu plamistego w zakładzie kalek, uderzyła na alarm i ogłosiła, szczególniej w Królestwie, że pół Krakowa umarło już na tyfus. Gdy do tego dołączy się jeszcze i cholera, możemy być pewni, że bardzo wielu uczestników odstraszy to od wzięcia udziału w obchodzie, nikt bowiem nie będzie się chciał narażać na możliwe kwarantanny i inne szykany.

Drugim zwiastunem Grunwaldu są „wiarogodne“ rewelacye emerytowanego i nawróconego szpiega Rakowskiego, który ogłosił szereg nazwisk osób i instytucyi, pozostających rzekomo na żołdzie rządu pruskiego. I to podziała ujemnie na wielu co do wzięcia udziału w uroczystości, przerazi ich bowiem, że taka masa szpiegów kręci się po Galicyi. O ile mnie się jednak zdaje, wiarygodność nawróconego jest bardzo problematyczną i nie dałbym za nią nawet fałszywej korony. Ogłoszenie owych rewelacyi jest jednak dobrym pomysłem i zupełnie na czasie, Rakowski oddał przez to narodowi pruskiemu wielką przysługę i będzie mógł liczyć na wdzięczność.

Inna rzecz, że wierzę mocno, iż marki pruskie grają niepoślednią rolę w podniecaniu ukraińskiego ognia we wschodniej Galicyi, zdaje mi się jednak, że ani rząd pruski, ani jego galicyjscy sojusznicy nie byliby do tego stopnia naiwni, aby postępować tak nieoględnie, iżby nawet Rakowski miał dostęp do ich sprawozdań i korespondencyi. Kto zresztą wystawił sobie swem dotychczasowem życiem takie świadectwo moralnego ubóstwa, jak ów młodzieniec, nie może żądać, by mu wierzono. Z tej też racyi dziwię się mocno *Kuryerowi Warszawskiemu*, że tak łatwo uwierzył w skruchę ex-szpiega i bez namysłu opublikował jego rewelacye. Czegóż jednak nie robi się dla obudzenia sensacyi? Cała sprawa przypomina bardzo kompromitacyę dyplomacyi austryackiej, wziętej na kawał w tak dowcipny sposób, że nawet dał się złapać uczony tej miary, co dr Friedjung. Tam skończyło się generalną klapą, w tym wypadku będzie zdaje się to samo, ale na ochłodzenie grunwaldzkiego zapału będzie to mieć wpływ pożądany, a o to przecież tylko chodzi Prusakom i ich galicyjskim przyjaciołom.

Bardzo nas zmartwiła wiadomość, że władca Prus i cesarz Wszech niemców zachorował na jakieś czyraki, które uniemożliwiły mu wzięcie udziału w różnych uroczystościach, jakie w Berlinie nie mogą się obejść bez jego obecności. Wprawdzie zastępuje go najstarszy syn, ten jednak nie posiada tego artystycznego zacięcia, co papa, więc smutek ogarnął niemiecką ojczyznę! Prasa rozpisuje się o owych czyrakach na ręce i kolanie, zastanawia się nad ich przyczyną, podaje opis operacyi, której nie było i dochodzi do wniosku, że cesarz jest przecież chory i że wobec tego nie weźmie udziału ani w instalacyi swego młodszego syna na poznańskim zamku, ani w czasie obchodu grunwaldzkiego nie odwiedzi hrabiego Tonia w Krakowie, kto wie nawet, czy będzie mógł udać się we wrześniu na Węgry na austryackie manewry, o Galicyi bowiem nie ma już i mowy! I Zeppelinowi zachorował podobno balon na jakąś polityczną niedyspozycyę i dlatego Wiedeńczycy nie mieli sposobności objawienia swych wszechniemieckich sympatyi. Zdaje się, że podobnie jak księcia Jerzego serbskiego, trzeba go będzie wysłać do Vichy na przymusową kuracyę.

Tymczasem niewiele brakowało, a bylibyśmy i w Krakowie mieli wojnę domową i to o „Sufrażystki“. Tak przynajmniej należało się spodziewać, wnosząc z niezadowolonego tonu *Naprzodu*. Zresztą przykład działa zwykle skutecznie, a dość niedawno temu lwowskie sufrażystki wyprawiły w teatrze taką awanturę, że musiano zażądać interwencyi policyi. Obawy jednak okazały się płonne, nasze emancypantki ograniczyły się tylko do wyrażenia dyrektorowi Rygierowi votum nieufności, ale po cichu, a same pośpieszyły licznie do teatru, aby się przekonać na własne oczy, jak same wyglądają i uśmiać się z własnych swych śmieszności. Z tego widzimy, że feminizm nie występuje w Krakowie tak ostro, jak np. we Lwowie, niema więc obawy, aby władze sanitarne wciągnęły go na listę epidemii, mających się pojawić około 15 lipca.

Do tego czasu ustanie także słabość, która w bieżącym tygodniu wystąpiła wprawdzie ostro, w przyszłym jednak stanowczo zniknie z horyzontu. Jest to tak zwana gorączka wyścigowa, objawiająca się w stawianiu na różne konie, biegające na krakowskim torze wyścigowym. Wielu ludzi uważa pojawienie się na Błoniach i kręcenie koło totalizatora jako *conditio sine qua non* uznania za gentlemana i sportowca, inni, a są to przeważnie bracia mojżeszowego wyznania, mają w tem wcale pokaźne źródło dochodu. Że zaś nasze społeczeństwo chętnie bardzo podaje rękę szczęściu, ile razy się tylko nadarzy okazya, mamy sposobność skonstatować choćby z tego, że w Krakowie na stałe osiadł bookmacher, względnie jego filia, musi więc robić u nas dobre interesy, skoro mu się opłaciło założenie własnej oficyny. Narodek znosi ciężko zapracowane lub wyżebrane u Aronka korony i składa je na ołtarzu Fortuny, która zazwyczaj robi doń perskie oko... Pieniądze giną w bezdennej kieszeni przedsiębiorcy, graczowi pozostaje niesmak i nadzieja, że za rok może się przecież odbije.

Przedstawiciele nasi w Wiedniu mają też gorące czasy, nie dość bowiem, że panują upały, nadto trzeba ciężej niż zwykle pracować, gdyż zbliża się koniec sesyi przedwakacyjnej, a budżet prosi się o uchwalenie. Z racyi dyskusyi budżetowej w komisyi podnoszono ze wszystkich stron różne postulaty przerozmaitych narodowości, widać jednak z obecnego biegu rzeczy, że każdemu coś się okroi, tylko my pójdziemy z kwitkiem, bo pan minister Biliński, który tylko dobro Galicyi ma na celu, oświadczył, że nie ma pieniędzy na kanały, a Izba panów, pijających tylko szampana, a na starość wody mineralne, przygotowuje także obstrukcyę kanałową, nie myśląc wcale zajmować się jakąś tam brudną wodą... *fidonc!* Na dreadnoughty, które na razie budują się dla jakiegoś prywatnego przedsiębiorstwa (powiadają, że podobno mają pływać w Parku Krakowskim...) pieniądze są, znalazłyby się nawet i na inne inwestycye, ale trzeba umieć chodzić za swym interesem.

Wzorem takiej troskliwości o dobro reprezentowanych przez siebie wyborców może być poseł pan profesor Dnistrjańskij, recte Dniestrzański. W dyskusyi o sokołach ruskich w Galicyi oświadczył między innymi: „Niech się rząd strzeże, aby w dwudziestym wieku zaspokojenia najwyższych potrzeb kulturalnych nie zdobyto drogą rzezi...!“ Jest to oświadczenie, dające wiele do myślenia. Wszakże już Pawło Krat w imię nauki demolował uniwersytet lwowski i darł obrazy! Kto jednak ładnie prosi, otrzyma, czego pragnie, więc też i Rusini mogą być pewni, że postulaty ich będą spełnione i otrzymają nareszcie cel swych pragnień, własny ukraiński narodowy uniwersytet w Peczeniżynie lub Bohorodczanach. Pierwszym honorowym rektorem zostanie naturalnie Siczyński, obowiązki profesorskie w rzeczywistości będzie jednak mógł objąć dopiero za lat dziewiętnaście, które mu jednak wliczy się do emerytury. Nie przesądzajmy zresztą wypadków, kto bowiem wie, czy dziś lub jutro nie postawią Rusini wypuszczenia na wolność Siczyńskiego, jako warunku popierania rządu? Jeśli wówczas poprosi ktoś grzecznie o to w guście dra Dniestrjańskiego, rząd naturalnie usłucha, a pan Mirosław, kto wie, czy nie zostanie pierwszym namiestnikiem wschodniej Galicyi, bo że wejdzie zaraz do parlamentu wiedeńskiego — to jest rzecz więcej, niż pewna.

X.

Jubileusz zasłużonego kapłana.

W dniu 15 czerwca b. r. odbyła się w Straszęcinie koło Dębicy piękna, a tak rzadka uroczystość pięćdziesięcioletniego jubileuszu kapłaństwa miejscowego proboszcza, ks. Antoniego Piątkowskiego.

Sędziwy jubilat, cieszący się ogólnem poważaniem i miłością swych parafian, urodził się w roku 1834 w Limanowej, a po ukończeniu szkół średnich w Nowym Sączu i Krakowie, kończył seminaryum teologiczne w Tarnowie. Wyświęcony w r. 1860



Jubileusz zasłużonego kapłana: Ks. Antoni Piątkowski.

na kapłana, pełnił początkowo obowiązki kapelana przy 2 pułku ułanów w Aradzie, skąd powrócił w r. 1863 do kraju i zdawszy egzamin na katechetę gimnazyalnego, zamianowany został profesorem religii przy gimnazyum bocheńskiem. Nominacyę jednak odwołano ze względów politycznych, a młodego kapłana wysłano do Nowego Targu jako wikaryusza. Z kolei pełnił następnie obowiązki duszpasterskie w Wadowicach, Andrychowie, Makowie i Podgórzu, a w r. 1873 otrzymał prezentę na probostwo w Zawadzie, skąd w r. 1877 przeniósł się do Straszęcina.

W ciągu pięćdziesięcioletniej działalności kapłańskiej dał się ks. Piątkowski poznać jako gorliwy pasterz powierzonej sobie owczarni, dbający o jej rozwój moralny i materyalno-społeczny. Nic też dziwnego, że w dniu jubileuszu zebrały się tłumy parafian i okolicznej ludności, aby złożyć życzenia i oddać hołd cichej pracy i zasługom.

Na plebanię przybyła procesya, jubilata przybrano we wspaniały ornat, ofiarowany przez parafian i poprowadzono przy dźwiękach muzyki wojskowej 57 p. p. przez okazale udekorowaną bramę tryumfalną do kościoła, gdzie odprawił uroczystą mszę św., w czasie której okolicznościowe kazanie wypowiedział ks. dziekan Krościeński z Zasowa.

Po nabożeństwie składano jubilatowi życzenia i dary. Między innymi pospieszył z życzeniami hrabia Mikołaj Rej, właściciel Przyborowa, parafianie i służba kolejowa, a biskup tarnowski odznaczył zasłużonego kapłana przywilejem noszenia rokiety i mantoletty.

Zgon wybitnego polityka.

Żałobna wieść doszła nas z Południa. W willi swojej na Lussingrande zmarł były minister oświaty i profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. Stanisław Madeyski, osobistość w szerokich kołach naszego społeczeństwa ceniona i szanowana.

Urodzony w r. 1841 w Sieniawie, po ukończeniu prawniczych studyów, poświęcił się początkowo karyerze notaryalnej, wnet ją jednak porzucił i habilitował się na uniwersytecie lwowskim na docenta prawa cywilnego, w roku zaś 1880 otrzymał profesurę tegoż przedmiotu na wszechnicy Jagiellońskiej.

Równocześnie występował także na arenie politycznej. Wybrany posłem w r. 1879 zwrócił na siebie uwagę jako gładki mowca, wkrótce też został wiceprezydentem Izby poselskiej, a w r. 1893 otrzymał portfel ministerstwa oświaty w gabinecie koalicyi polsko niemieckiej ks. Windischgrätza. Na tem stanowisku pozostał półtora roku. Madeyski uchodził za polityka pojednawczego względem Niemców, nie mogli mu jednak darować założenia klas równorzędnych słowiańskich przy niższem gimna-



Zgon wybitnego polityka: Ś. p. Ekscellencya dr. Stanisław Poraj Madeyski. (Fot. J. Sebald, Kraków).

zyum w Cylei. Wywołało to oburzenie w stronnictwie narodowo niemieckiem, które rozpoczęło przeciw rządowi namiętną agitacyę, a jej następstwem była dymisya całego gabinetu i rozbicie koalicyi.

Po dymisyi zatrzymał ś. p. Madeyski nadal mandat poselski, osiadł jednak na stałe we Wiedniu. W kilka lat później powołany został do Izby Panów, był też członkiem trybunału państwowego i rady nadzorczej zakładu kredytowego. Publicznie występował odtąd coraz rzadziej, przeważnie w broszu-



Jubileusz zasłużonego kapłana: Uczestnicy uroczystości jubileuszowej z Jubilatem w pośrodku.

rach ogłaszał swe poglądy o sposobie załatwienia sporów językowych w Austryi.

W r. 1908 wybrano go prezydentem delegacyi austryackiej w Budapeszcie. Była to sesya ważna, chodziło bowiem o sprawę aneksyi Bośni i Hercegowiny. Powszechnie uznawano wówczas takt, z jakim kierował nader drażliwą dyskusyą. Był także długoletnim członkiem sejmu galicyjskiego.

Ś. p. Madeyski przed kilku tygodniami poddał się ciężkiej operacyi abscesu na opłucnej, poczem na czas rekonwalescencyi wyjechał na południe, gdzie go śmierć zaskoczyła.

Zgon znakomitego polityka i uczonego okrył żałobą nasze społeczeństwo, które w zmarłym traci jedną z najwybitniejszych osobistości, pracującą chętnie i wytrwale dla dobra rodzinnego kraju.



Nowa operetka Lehara: Pp. Messalówna i Redo (akt. II)

Nowa operetka Lehara.

Wśród licznych operetek, które na targu muzycznym pojawiły się w ostatnich paru latach, jedno z pierwszych miejsc zajmuje niewątpliwie Lehara „Hrabia Luxemburg“, zarówno z powodu bardzo melodyjnej muzyki, jak i wesołego libreta, przeplatanego dowcipnymi kupletami i udatnymi tańcami.

Operetkę tę wystawił już z ogromnem powodzeniem teatr lwowski we Lwowie pod koniec sezonu publiczność krakowska będzie też miała sposobność zapoznać się z nią w najbliższym czasie. Obecnie zaś gra ją teatr „Nowości“ w Warszawie. a każde przedstawienie wypełnia szczelnie widownię.

Fabuła libretta wynikła z planu starego księcia rumuńskiego, Rumuneszti, który pragnie poślubić piękną śpiewaczkę Angeli Didier, chce ją jednak przedtem wydać za marnotrawnego hrabiego Luxemburga, aby pozyskała tytuł arystokratyczny. Hrabia podejmuje się za nagrodą w kwocie pół miliona wziąć ślub z uroczą śpiewaczką, ale za parawanem i nie widząc jej wcale, a następnie rozwieść się z nią w przeciągu trzech miesięcy. Oczywista rzecz, że hrabia musiał swą żonę ujrzeć, a następnie w niej się zakochać. Udało mu się też pozyskać wzajemność i „prowizoryczne“ małżeństwo zamienia się na trwały i stały związek.

Muzyka Lehara do tego libreta jest bardzo miła, bardzo lekka, dowcipna, doskonale uharmonizowana. Kilka walców i polka wyróżniają się przepięknemi melodyami.

Do powodzenia tego utworu w Warszawie przyczyniła się niemało świetna gra artystów, z pośród których palmę pierszeństwa zdobyli pp.: Messalówna i Ćwiklińska, oraz Redo, Szczawiński i Krzewiński. Reżyserya p. Śliwińskiego była wyborna.



Nowa operetka Lehara: P. Manowska, pp. Redo i Krzewiński (akt III.)

Turniej szermierczy we Lwowie.

Staraniem oddziału szermierzy „Sokoła Macierzy“ we Lwowie odbył się w ubiegłym tygodniu turniej szermierczy, a wyniki jego wykazały bardzo wysoki poziom tego pięknego naprawdę sportu.

Za pielęgnowanie szermierki należy się „Sokołowi“ lwowskiemu szczere uznanie. Z żalem bowiem należy stwierdzić, że w ostatnich latach sport szermierczy znacznie wśród młodzieży polskiej podupadł, a szkoda, gdyż naród nasz ma pod tym względem najpiękniejsze tradycye, podobnie jak jazda konna.

Usiłowania więc, zmierzające do rozbudzenia wśród młodego pokolenia zamiłowania do szermierki, należy gorąco popierać.

Turniej „Sokoła“ dał wyniki pod względem jakości bardzo piękne, mniej zadowalające jednak pod względem ilości uczestników, których było tylko sześciu. O spotkaniach wyrażali się sędziowie, wchodzący w skład *jury*, jaknajpochlebniej i z gorącem uznaniem, z którego dumni powinni być nietylko szermierze ale i ich nauczyciel, fechtmistrz p. Szemelowski.

Publiczność zebrała się bardzo licznie i hucznymi oklaskami nagradzała dzielnych szermierzy.



Fot. F. Münz, Lwów.

Turniej szermierczy we Lwowie: Uczestnicy turnieju wraz z członkami *jury* 1. Naczelnik straży pożarnej Żytny; 2. prezes „Sokoła-Macierzy“ dr. Czarnik.

Groźba rewolucyi w Portugalii.

(Do illustracyi na str. 10)

Z kolei rzeczy obecnie półwysep iberyjski zajął miejsce bałkańskiego i zajmuje uwagę całej Europy, w obu bowiem jego państwach nastało wrzenie, które grozi, szczególniej w Portugalii, obaleniem monarchii i ogłoszeniem republiki. Organa rządowe uspokajają wprawdzie opinię i stwierdzają, że republikanie portugalscy nie posiadają dotąd odpowiednich sił, faktem jest jednak, że korzystają z obecnego zamętu i każdej chwili można się spodziewać nowych rozruchów i zamachów.

Portugalia znajduje się obecnie w stanie bardzo groźnego wewnętrznego przesilenia. Datuje się ono od lat wielu, a wytworzone zostało nadużyciami finansowemi poprzedniego króla i wprost rabunkową gospodarką rządu. Skutków nie zdołały usunąć ści-



Nowa operetka Lehara: Pp. Ćwiklińska i Szczawiński.

śle konstytucyjne rządy króla Manuela, ponieważ rozbita na trzynaście partyi i grup Izba deputowanych nie umie się zdobyć na energiczną pracę sanacyjną.

Fatalną tę sytuacyę zaostrzyło bankructwo banku *Credito Pretial*, które tysiące osób naraziło na dotkliwe straty. Ogólne rozgoryczenie zwiększyło się jeszcze, gdy się okazało, że rząd nietylko nie zamierza wystąpić przeciw winowajcom, lecz owszem bierze ich w obronę, gdyż na czele banku stał znany polityk i przywódca obecnej partyi rządowej, t. zw. stronnictwa progresistów, Lucyan de Castro.

Pod naciskiem opinii publicznej, gabinet opierający się na tej partyi pod prezydenturą Beiraosa, podał się wreszcie do dymisyi, którą król przyjął. Dotychczas jednak nie udało się utworzyć nowego gabinetu, progresiści bowiem posiadają większość w Izbie deputowanych i żadną miarą nie chcą zezwolić, aby ster rządów powierzono członkom innego stronnictwa. Król nosił się już z myślą rozwiązania Izby i rozpisania nowych wyborów i na to jednak nie chcą się zgodzić progresiści, niepewni ich wyniku.



Z opery lwowskiej: Kapelmistrz Piotr Stermicz.

Wobec prawdziwej anarchii w kołach rządowych doradzał ks. Alfons Braganza, stryj króla, rozwiązanie Izby i zaprowadzenie dyktatury, jest to jednak krok nader ryzykowny, który mógłby dla monarchii mieć nieobliczalne następstwa. Wspominano także o abdykacyi króla Manuela na rzecz stryja Alfonsa, pogłoski się jednak nie sprawdziły.

W ostatniej chwili donoszą z Lizbony, że Antonio Avecedo przyjął mandat utworzenia gabinetu.

„Momus“ warszawski w Krakowie.

Grono wesołych artystów zawitało w ubiegłym tygodniu do Krakowa, aby swemi udatnemi, pełnemi humoru naturalnego produkcyami rozbawić ospałych trochę mieszkańców podwawelskiego grodu. Gronem tem, to artyści „Momusa“ warszawskiego, którzy po tryumfach w swej stałej siedzibie wybrali się na lato na wędrówkę po innych miastach, zaczynając ją od Lwowa.

Od soboty bawią w Krakowie, dając przedstawienia w przepełnionej codziennie sali restauracyi Drobnera.

„Momus“, to kabaret. Więc zabawa wesoła, swobodna, trochę swawolna, lecz w miarę, przedewszystkiem zaś utrzymana w granicach smaku artystycznego i tem różniąca się korzystnie od tinglów wszelakiego rodzaju.



Z opery lwowskiej: Jadwiga Dębicka.

Zespół „Momusa“ doskonały. W skład jego wchodzą ogromnie sympatyczne „jedynaczki“: Borowska, Dorée (zwana „brzydulą“) i Horbowska, oraz pp. Kaden, znakomity mimik, Małkowski, dowcipny monologista, Müller, baryton o pięknym, silnym głosie i dyrektor trupy, Jan Pawłowski.

Dyrektora Pawłowskiego zna publiczność krakowska z dawniejszych czasów, gdy wchodził w skład personalu teatru miejskiego, za dyrekcyi Kotarbińskiego. Potem grywał w teatrach warszawskich oraz w Wilnie, a z chwilą założenia „Momusa“ w Warszawie wstąpił w skład jego trupy i po dziś dzień tam pracuje, obecnie po raz drugi jako kierownik.

Publiczność krakowska nie szczędzi dowodów uznania całej trupie „Momusa“, gdyż program przedstawień kabaretowych jest istotnie doskonały. Nastrój jednak w sali jest zwykle, n. b. z winy publiczności, zbyt poważny, charakter zaś przedstawień kabaretowych wymaga jak największej swobody.

Z opery lwowskiej.

Tegoroczny sezon operowy w Krakowie zapowiada się nadzwyczaj pięknie, nic dziwnego też, że już od pierwszych przedstawień cieszy się ogromnem



„Momus“ warszawski w Krakowie: Dyrektor Jan Pawłowski

powodzeniem. Zasługa to przedewszystkiem doskonale dobranego zespołu, o siłach polskich wyłącznie, ale bezwarunkowo pierwszorzędnych.

Orkiestrę teatru lwowskiego i jej wartość zna już dobrze publiczność krakowska. Od czasu, kiedy na jej czele stoi kapelmistrz tej miary, co p. Piotr Stermicz, postąpiła ona jeszcze wyżej i dziś zaliczyć ją należy do najlepszych orkiestr operowych. Kapelmistrz Stermicz bowiem, to siła znakomita, muzyk ogromnie utalentowany, wysoko wykształcony, a w zawodzie swym niezwykle rutynowany. To też wszystkie opery, które on przygotowuje, dostarczają słuchaczowi wrażeń prawdziwie pięknych.

Primadonną opery jest, jak w roku poprzednim, panna Jadwiga Dębicka, której występy już przed dwoma laty cieszyły się tak dużem powodzeniem. Głos młodej śpiewaczki rozwinął się wspaniale, spotężniał i osięgnął dźwięk najszlachetniejszego metalu.

Znakomitym partnerem p. Dębickiej jest w tym sezonie jeden z najlepszych dziś polskich śpiewaków, tenor p. Henryk Drzewiecki. Warszawianin z rodu, tam zaczął studya muzyczne w czasie nauk uniwersyteckich, kształcąc się w śpiewie u Gebla i Cotto-



Z opery lwowskiej: Henryk Drzewiecki.

niego. Po ukończeniu uniwersytetu wyjechał Drzewiecki do Włoch, do Wenecyi a następnie do Medyolanu i w r. 1899 rozpoczął karyerę śpiewaczą. Pełne dwa lata śpiewał na scenach włoskich, poczem jako artysta skończony, wrócił do kraju i występował we Lwowie. Tam zyskał odrazu sympatyę publiczności i uznanie krytyki. Głos bowiem p. Drzewieckiego jest bardzo piękny, silny, wytrzymały i dźwięczny, doskonale ustawiony i wyszkolony. Wysoka muzykalność i głęboka inteligencya obok pięknej postawy, uzupełniają nadzwyczajne warunki tego śpiewaka.

Nowy wynalazek Krakowianina.

Myśl ludzka biegnie wciąż naprzód i we wszystkich kierunkach życia codziennego przynosi ulepszenia i wynalazki, które w bardzo wielu razach są dla ogółu z nieobliczonemi korzyściami połączone.

Do takich szczęśliwych pomysłów, korzystnych dla ogółu, zaliczyć trzeba w ostatnich czasach wynaleziony mechanizm hygieniczny, zastosowany przy aparatach piwnych do mycia szklanek, kieliszków i wszystkich przewodów piwnych.

Jest to doniosły wynalazek, zmieniający i usuwający dotychczasowy system mycia szklanek w szaflikach, gdzie stek zarazków ma swoją siedzibę, oraz z rur, przeprowadzających piwo z beczki do szklanki, usuwający wszystkie nieczystości i osad z drożdży.

I dziś, kiedy niniejszy mechanizm opatentowany w zastosowaniu do aparatów piwnych, okazał się bardzo praktyczny i niezbędny, podnosimy z uznaniem pracę rodaka naszego i Krakowianina p. P. Horowitza, załączając jego podobiznę przy aparacie i życząc mu na tem polu dalszych sukcesów.



Nowy wynalazek Krakowianina: Aparat hygieniczny do piwa, pomysłu p. Horowitza.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 24.

Logogryf:

Żydzi
Urywek
Łakocie
Antoni
Wiara
Sotnia
Krowa
Ikra

Szarada: Lewkonie.

Szarada: Krynica.

Zadanie do przestawienia: Kto wiatr sieje, burzę zbiera.

Łamigłówka:

Kot
oko
szum
ewa
tak
dama
hak
ale
styl
lew
era
igły
aga

Logogryf:

Genewa
Helena
Londyn
Tryest
Morawa
Kanada

Szarada: Panorama.

Rebus: Siła czasu wszystko kruszy, nic przed nią się nie ostoi.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów, K. Lichański Sambor, W Orsowski Warszawa, A. Bibiński Tarnopol, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, K. Łopatkiewicz Tarnów, I. Brzozowski Sokal, K Lindenbaum Czerniowce, K. Ostmann Stanisławów, M. Idzikowska Jasło, M. Harasymowicz Lwów, K. Cieszkowski Warszawa, R Zygmuntowski Płock, M. Kalinowska Sandomierz, J Ortyński Stanisławów, K. Gliński Kołomyja, B Radoszewski Rzeszów J. Bukała Krosno, H Zachara Krosno, M Wyka Lwów, T Cieplik Jordanów, F Schmidt Rzeszów. S. Michalski Jordanów, K. Link Budapeszt, S. Bienkowski Wiedeń, J. Rymarz Cieszyn, K. Frankowicz Opawa, B. Batowski Jordanów, M Sagucki Tarnów, K. Rogoziński Przemyśl, J. Lechowski Jasło, W Radomska Tarnopol, M. Lewicka Radomyśl, M Medyńska Czortków, W. Ostrowski Sandomierz, K. Michalski Janów, H Pick Łódź, R. Christof Rzeszów. Z Blaim Sanok, K Gustawicz Lwów, W. Osadowski Jarosław, K. Nowak Żywiec, J Klimek Stanisławów, T Rohatyn Jabłonów, B Jaworski Wiedeń, Z. Cygnarski Lwów, M Krajewska Kraków, M. Więckowska Warszawa, S. Ryglicki Jasło, B. Mucha Tarnów, S. Krzyżanowski Radomyśl. K. Gawroński Tarnopol, J. Reklewski Limanowa, S. Bazink Sandomierz. W. Wacławowicz Płock, M Lesińska Sanok, K. Czemeryński Dąbie, L. Tichy Kraków, B. Klapholz Kraków, S. Lewicki Kraków, S. Ogiński Zakopane, E Gralewski Warszawa, M. Radomska Kraków, H. Zajączkowska Rymanów, M. Krawecka Zakopane. S Lipski Warszawa, J. Lubieński Warszawa, T Cisielski Kraków, B Krokowski Tarnobrzeg, C Wang Rzeszów, M Bergstein Przemyśl, J. Poviel Sanok, K. Kaim Kraków. Janinka Tustanowice, J. Badura Rożdzień, E. Miarkowska Przeworsk, E. Bogdalska Koropnż, W. Nowacki Chmielów, W Budzanowska Matyjowce, J. Szpak Kraków, K Kucharski Kraków, T. Kucharski Kraków, W. Lewicka Czarna, Hala O. Skała, M Zabierzewska Krakow, M. Turecka Tarnopol, K Fuchs Czeremchów, M. Markiewiczówna Uście Solne, Z Boulangé Gawłowek, S Faliszewski Białgród.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p **M. Zabierzewska Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal na koszta poleconej przesyłki.

Malutka królewna.

„Pociecha“ królowej Wilhelminy i całej Holandyi, malutka królewna, której szczęśliwe przyjście na świat taką radością napełniła niedawno poddanych królowej Wilhelminy, rośnie zdrowo pod troskliwem okiem rozkochanej w niej matki.



Malutka królewna: Królewna holenderska Juliana.

Młodziutka królewna obejmie kiedyś tron po swej matce, chyba że związek małżeński królowej Wilhelminy z księciem Henrykiem pobłogosławiony zostanie męskim potomkiem.



Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

13

To, co mówił Panajon, było prawdą. Historya ta nie była zmyśloną, inaczej tylko przedstawił towarzyszące jej okoliczności. Istotnie grał w tę śmieszną grę w pewne upalne popołudnie lutowe. Klubem jednak było więzienie, partnerem drugi taki sam więzień, jak on, a stawkę stanowiły dwa kawałki tytoniu do żucia.

— Zanim jednak zjawią się muchy — odezwał się pan Radoux — możebyśmy zaczęli swą partyę pokiera?

— Zaczynajmy! — odrzekł Panajon, wyciągając rękę po karty.

Piotr stał ciągle bez najmniejszego ruchu, jak posąg. Walczył z sobą, by nie pochwycić Australczyka za kołnierz i nie zażądać od niego wyjaśnień. Już dwa razy młody człowiek omal nie uniósł się, raz wobec baronowej, potem wobec Maksyma Dureta. Pohamował się jednak za każdym razem. Teraz jednak dawał się unosić swemu temperamentowi. Nie mógł się już opierać. Zdawał sobie z tego sprawę i postanowił odrazu żądać od niego wytłómaczenia. Pozostawało mu zaledwie tyle cierpliwości, aby tę rozmowę poprowadzić spokojnie.

„Korzystajmy z niej — zachęcał się Piotr. — Czuję, że za chwilę będzie już za późno... Burza zerwie się mimo mej woli“.

I hamując swe nerwy, któremi już niezupełnie władnął, zapanowując nad głosem, by nie drżał ze wzruszenia, spojrzał uważnie na domniemanego rywala, jak tasuje karty i zapytał go niespodzianie:

— Pan jest panem Turnerem?...

— Tak, ja! — odrzekł złodziej.

— Nazywam się Piotr Cartelegue.

„Sapristi! — szepnął do siebie baron. — Już się poznali!... Do czego tylko ten Piotr zmierza?...“

Notaryusz zaś, który naraz jakby zesztywniał, podniósł do góry brwi i otworzył usta i w ten sposób zdradzał swe zdziwienie połączone z niepokojem.

— Bardzo się cieszę z poznania pana! — rzekł Panajon, jak mógł najczulej. — To pan jest, nieprawdaż, nazwany królem stu dwudziestu koni?

W odpowiedzi na uśmiech Australczyka młody człowiek zrobił jeszcze ostrzejszą minę.

— Tak, to ja... Na razie jednak nie chodzi o samochody... Chodzi mi o wręcz coś odmiennego...

„Oj, oj! Coraz gorzej!“ — rozmyślał z niepokojem baron i pan Radoux, który podniósł do góry ręce, jakby chciał błagać ich, by zachowali spokój.

— O coś odmiennego? — powtórzył Panajon.

— Tak, o kobiety — rzekł Piotr — a raczej o jedną panią, o której rozmowa z panem sprawiłaby mi wielką przyjemność... Pan de Lagunan i pan Radoux nie przeszkadzają mi zupełnie... Owszem... Wolę nawet, by ta rozmowa odbyła się wobec świadków...

Piotr mówił półgłosem, tak aby go nie słyszano przy sąsiednich stołach, lecz tonem stanowczym, w którym czuć było groźbę...

— Nie sądzą panowie, że byłoby może lepiej...— zaczął pan Radoux.

— Tak... Nie sądzą panowie... — powtórzył baron.

— Przepraszam! — przerwał gwałtownie Piotr.

Potem, zwracając się do Panajona, ciągnął dalej:

— Powiem krótko: w pokoju nauczycielki panny de Lagunan zostały znalezione listy. Pochodzą one od pana czy nie?

— Przepraszam pana... — odrzekł złodziej. Nie zrozumiałem dobrze...

— A jednak to jest bardzo proste. Była tutaj młoda nauczycielka.. Znaleziono u niej listy, podpisane nazwiskiem Turner... Pytam się, czy pan je pisał?

— A poco się pan mnie o to pyta?

— Proszę nie odpowiadać na me pytanie innem pytaniem...

— Odpowiadam tak, jak się mnie podoba.

— Jak się panu podoba?

— Panowie... — błagał pan Radoux.

— Panowie... — powtórzył baron, pragnąc powstać.

— Niech panowie poczekają, proszę bardzo — rzekł Piotr. — Proszę tylko o dziesięć sekund cierpliwości...

Ręce młodego człowieka drżały. Panajon widział to i miał się na baczności. Uważał, że są one cienkie, delikatne, lecz muszą mimo to być dość silne, wygimnastykowane i dość twarde z powodu ciągłego kierowania, a nieraz z naprawiania samochodów.

— Tak, panie, jak mi się podoba! — powtórzył mniemany Karol Turner.

— Zachowajmy trochę zimnej krwi! — szepnął Piotr Cartelegue półgłosem, raczej do siebie, niż do swego przeciwnika.

— Tak, tak, trochę zimnej krwi — powtórzyli jednocześnie notaryusz i Raul de Lagunan.

— Pytam się pana po raz ostatni — zwrócił się Piotr do Panajona.

Złodziej, udając oburzenie, zaostrzył swój akcent angielski i rzucił groźne spojrzenie na Piotra.

— *Ach*! Pan mnie się pyta... Lecz jakiem prawem?...

— Jakiem prawem?... Panna Dubois...

— A jakiem prawem pan wymawia imię tej osoby? — przerwał Panajon. — Zabraniam tego panu...

Piotr wiedział już dosyć. Australczyk wyznał w ten sposób wszystko. Ostatniem zdaniem przedstawił się jako protektor Ludwiki.

Ręka króla stu dwudziestu koni podniosła się i prawie bezwiednie spadła na czyjąś twarz. Panajon jednak, który baczył na ruchy jego rąk, dostrzegł to i ze zwinnością akrobaty nachylił się, tak, iż pięć palców Piotra spoczęło na lewym policzku barona.

Pan domu krzyknął z bólu, podczas gdy monokl jego poleciał w przeciwną stronę pokoju. Piotr również krzyknął. I czterej partnerzy powstali tak gwałtownie, iż stół zachwiał się i kandelaber potoczył się na podłogę.

Przybiegli inni gracze. Jedni schwycili za ramię młodego człowieka, który wyrywał się, pragnąc przeprosić niewinnie uderzonego i naprawić swój błąd przez wymierzenie drugiego celniejszego policzka swemu przeciwnikowi. Drudzy pośpieszyli do barona. W jednej chwili zjawiła się i cała masa osób z salonu, zapełniając pokój do gry.

Ze wszystkich stron krzyżowały się ciekawe pytania i pośpieszne odpowiedzi.

— Ktoś oszukiwał w grze?

— Zapewne.

— Ależ nie. Wcale nie.

— Twarz barona jest zaczerwieniona. Czy to on dostał policzek?

— Nawet porządny!

— Od Piotra Cartelegue'a!

— Za co?

— Za nic!

— To niemożliwe!

— Owszem! Policzek ten był przeznaczony dla sąsiada barona.

Piotr wołał do Karola Turnera:

— Jesteś pan nędznik!

— *Ach!* — odpowiedział Australczyk. — Nędznik, ponieważ uniknąłem pańskiej napaści?... Pan chciał, bym panu nadstawił oba policzki, jeden po drugim?... Ja nie jestem nędznikiem... lecz pan jest niezgrabiaszem...

— Panie baronie! — zwrócił się młody człowiek do pana domu. — W jaki sposób będę mógł pana przeprosić?

Zjawili się tam także Julian Maixent i Maurycy de Terrade. Amerykanin łokciami robił sobie drogę. Inżynier szedł za nim. Maksym Duret pośpieszał również. Kamilla, stojąc przy drzwiach, nie śmiała posunąć się naprzód, podniosła się tylko na palcach, by lepiej widzieć. Pani de Lagunan pozostała w salonie. Zaciskała ręce i cała drżała. Ten nagły hałas, który wybuchł w chwili, gdy najwięcej obawiała się skandalu, naprowadził ją na myśl, że wszystko już się odkryło. Powstała i oparła się o kominek. Znalazła zaledwie tyle sił, by módz stać.

— Gdy tylko będę mogła się ruszyć — rzekła do siebie — zamknę się w swym pokoju i zabiję się.. Flakonik laudanum, który mam u siebie, uwolni mnie od wszystkiego...

Słyszała i widziała jakby we śnie, jak goście wchodzili i wychodzili z gabinetu, zbliżali się do niej i coś mówili... Nie rozumiała jednak, co jej mówiono... Myślała tylko o flakoniku, którego zawartość musi połknąć. Nagle ukazali się Maksym Duret i Panajon. Wuj miał swą zwykłą i wyniosłą minę. Głowę niósł teraz jeszcze wyżej zadartą, niż zazwyczaj. Towarzysz jego szedł pełen godności. Zbliżyli się do baronowej.

— Drobny wypadek — rzekł filantrop. — Wytłómaczę ci go potem...

Widząc zaś błędny wzrok swej siostrzenicy, dodał jeszcze:

— Nic poważnego... Uspokój się...

Złodziej skłonił się nisko i rzekł:

— Proszę pani przyjąć wyrazy mego głębokiego poważania i żalu z powodu tej sceny, za którą zresztą jestem zupełnie nieodpowiedzialny...

Baronowa podała machinalnie rękę temu panu we fraku, który z taką elegancyą chylił przed nią swą głowę. Panajon podniósł rękę jej do ust i pocałował.

— Do jutra, moja droga — rzekł Maksym Duret. — Chodźmy Turner.

I obydwaj mężczyźni wyszli z salonu. Teraz dopiero baronowa przekonała się, że się myliła. Nie stało się jeszcze to, czego się obawiała. Nie potrzebowała umierać samobójczą śmiercią. Poważano ją jeszcze jako kobietę światową, wpływową, bogatą i uczciwą.. Powstrzymała łzy, jakie jej napływały do oczu i nerwowy uśmiech, który skrzywiał jej twarz. Przez chwilę sądziła, że oszaleje. Potem westchnęła i opadła na fotel.

— To nic... — rzekła do osób, które się koło niej krzątały.

Napięcie nerwów już słabło, kryzys minął. — Raul de Lagunan udał się do swego pokoju, by natrzeć policzek świeżą wodą. Amerykanin mówił niezadowolonym tonem do Piotra Cartelegue'a:

— Hallo! Nie jesteś mężczyzną. Zachowałeś się jak dziecko.

Tymczasem Maksym Duret i towarzysz jego stali na ulicy, przyglądając się wspaniałemu samochodowi, który czekał na nich przed pałacem baronostwa. Był to samochód, wynajęty na miesiąc przez Panajona.

— Pan przyzna — tłómaczył złodziej — że nieodpowiedniem jest dla Karola Turnera, aby jeździł dorożką...

— A co to za człowiek w liberyi koło szofera?

— Mój służący.

— Pan wziął służącego?

— Przecież jutro przenoszę się z hotelu do wła-

snego mieszkania! Czyżby pan chciał, by mi usługiwał przekupień maronów z rogu ulicy?

— Nie, nie... Bardzo dobrze... — zgadzał się filantrop.

Do siebie zaś szepnął:

— Cokolwiek za kosztowne ma on wymagania! Przekonał się, że nie potrzeba zachęcać go do wydatków.

— Będzie mi pan towarzyszył aż do Tuileries-Palace? — zapytał Panajon.

— Tak.

Obydwaj mężczyźni siedli do samochodu, który też zaraz ruszył.

Panajon po drodze opowiedział szczegółowo wszystko, co zaszło między nim a Piotrem.

— I oto w jaki sposób — rzekł, kończąc swe opowiadanie — winien mi jest pan sześćset luidorów!

— Sześćset luidorów?

— Niech pan policzy... Pięćdziesiąt luidorów za policzek...

— Lecz komu mam dać te pięćdziesiąt luidorów?

— Ma się rozumieć, że mnie! Uważa pan, że mój policzek nie jest wart tyle?

— Ależ pana nie uderzono!

— Owszem, uderzono moralnie!... Niech mi pan pozwoli skończyć... Pięćdziesiąt luidorów na broń, lekarza, powozy, śniadanie...

— Czyż pan sądzi, że Piotr Cartelegue przyśle panu świadków?

— Nie wiem... Może być jednak pewny, że będzie miał wizytę moich...

— O h!...

— Ma się rozumieć!... Karol Turner nie może otrzymywać bezkarnie policzków!...

— Ponieważ pan jednak nie jest prawdziwym Karolem Turnerem...

— Bardzo dobrze! Niech mi pan w takim razie pozwoli stać się Ernestem Panajonem. Nie chcę pozostawać w skórze jegomościa, którego policzkuje się dowoli.

— No, dobrze! Będzie się pan bił!

— Lecz czyniąc to, narażam swą własną skórę... Oceniając to tylko na pięćset luidorów, zdaje mi się, że jestem bardzo skromny...

— Powiedziałem już raz, że dam panu czterdzieści tysięcy franków, gdy pańska rola się skończy... A teraz pan już żąda o dwanaście tysięcy więcej.

— Już? Co pan chce powiedzieć przez ten przysłówek? Czy pan podejrzewa mnie, że chcę pana obdzierać?

Maksym Duret nie odpowiedział. Myślał tylko: „To nie podejrzenie tylko, lecz pewność... Na szczęście wiem o tem dość wcześnie... Wiedziałem o tem, mój kochanku, że od chwili, gdy ci się zwierzę, każesz mi śpiewać po swojemu i śpiewać możliwie najdłużej. Szukałem jednak sposobu, by przeciąć tę eksploatacyę... I znalazłem go... Poczekam, gdy nie będę cię już potrzebował, a wtedy zobaczysz!"

Złodziej mówił dalej:

— Zresztą tych dwunastu tysięcy nie zamierzam wcale złożyć w kasie oszczędności... Zużyję ich na podtrzymywanie powagi bogatego Australczyka... Dopóki mam pozostawać milionerem, będę wydawał wszystko, co od pana otrzymam... Może pan być zupełnie pewnym co do tego... Banknoty pańskie nie będą butwiały w mym portfelu...

I istotnie, pomimo bardzo urodzajnej zimy, którą spędził na okradaniu pokoi hotelowych i włamywaniu się do mieszczańskich domów, Panajon podczas swej nocnej wyprawy do baronowej de Lagunan nie posiadał nawet dziesięciu luidorów. I teraz nie zbyt wiele mu już pozostawało z dwóch tysięcy franków, które Maksym Duret wręczył mu poprzedniego dnia.

Szczupłość tej sumy, która mu prawie w oczach topniała, od samego rana przyprawiała go o zły humor.

— Sto luidorów ma starczyć na odgrywanie roli nababa! — powtarzał sobie. — A gdy je wydam, ten stary Harpagon doda mi drugie sto i ani grosza nie dołoży i za to mam olśniewać Paryż swą wspaniałością! Jestem podobny z temi kilkoma groszami do żyda wiecznego tułacza!

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożyła M. Sulima w Skawinie.

Pierwsze i drugie oblicze zakrywa,
O pierwszem z trzeciem wspominamy z drżeniem,
Mimo, że tylko jest znikomym cieniem,
Trzecia wraz z czwartą dobra lub złą bywa.
Całość, wesołej to rodzaj zabawy
Dla amatorów miły i ciekawy.

Szarada.

Ułożyła M. Sulima, Skawina.

Cząstką utworu jest pierwsze i trzecie,
Z nieznaczną zmianą pierwszej litery,
Druga zaś z trzecią miewa swe chimery,
O każdej porze i w zimie i w lecie.
Im to najczęściej ulegają panie,
Bez miłosierdzia szpecąc swe ubranie.
Całość jest sprzętem użytecznym w domu,
Odgadnąć chyba nie trudno nikomu.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Gwizdek z Krakowa.

Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą nazwisko osobistości, której rewelacye wywołały taką wrzawę w prasie polskiej.

□ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Część świata. 3. Miasto w Galicyi. 4. Miasto na Śląsku. 5. Napój. 6. Rzeka w Galicyi. 7. Litera. 8. Samogłoska.

Logogryf.

Ułożył Kamil Kaim, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstał szereg wyrazów o podanem niżej znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół poda nam zabawy sportowe, które zajmują obecnie Krakowian.

— □ —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— □ —
— □ —
— □ —
— — □ — —
— — □ — —
— □ —
— □ —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — — □ — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Imię żeńskie. 2. Metal. 3. Imię żeńskie bardzo popularne na wsi. 4. Nazwisko poety-rękodzielnika niemieckiego. 5 Zwierzę drapieżne z rodziny psów. 6. Tytuł turecki. 7. Jeden ze szczytów w Tatrach. 8. Miasto na Litwie. 9. Rumuński pastorz. 10 Okres czasu. 11. Miasto na Podolu, pamiętne zawiązaniem konfederacyi. 12. Filozof angielski. 13. Zwierzę domowe. 14. Miasto na Wołyniu. 15. Drzewo owocowe. 16. Sprzęt domowy.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Klemens Sokołowski, Śniatyn.

Podane litery tak poprzestawiać, aby utworzyły znane polskie przysłowie:

Baku, bieg, buk, Bug, jako, kat, ó.

Zagadki.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

Z przodu, zimnym i nieczuły,
Ręce Ewy mnie wykuły,
Radzę więc wspak mnie pojmować,
A pieniądze w kieszeń chować.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania **A. Kallas: „Powtórne małżeństwo“**, dramat w 5 aktach.

Właściciel i wydawca Stanisław Lipiński. Za Redakcyę odpowiedzialny Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie